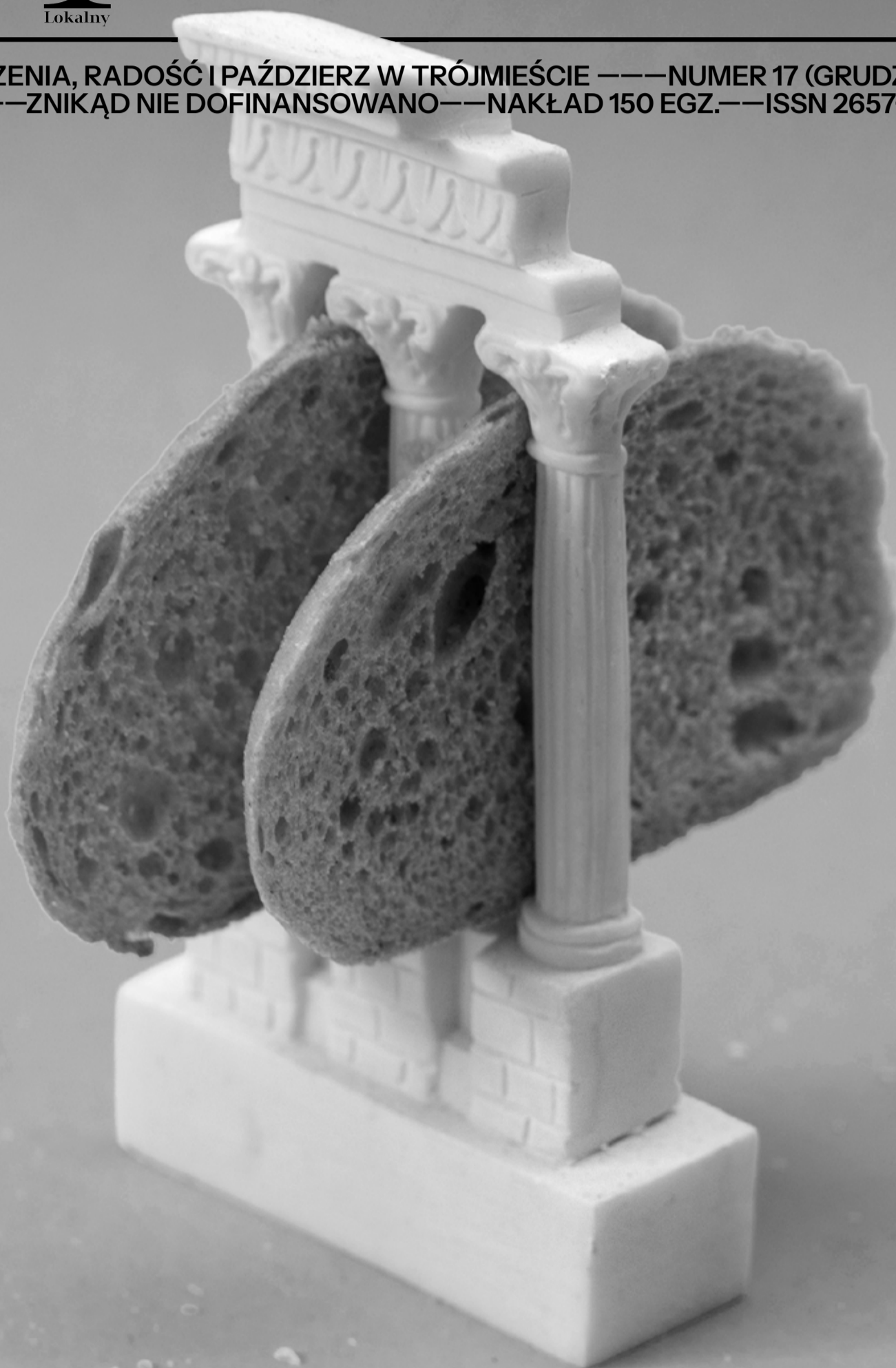

Dyskurs

Lokalny

WYSTAWY, WYDARZENIA, RADOŚĆ I PAŹDZIERZ W TRÓJMIEŚCIE ——— NUMER 17 (GRUDZIEŃ 2025)
PISMO BEZPŁATNE — ZNIKĄD NIE DOFINANSOWANO — NAKŁAD 150 EGZ. — ISSN 2657-8492



Archeologia,

BO ODKOPIJEMY RÓŻNE STARE RZECZY
(JAK ZWYKLE ZRESZTĄ)

POLEMKA Z „SZUMEM” / ROZMOWA Z LESZKIEM SZELIŃSKIM / SILVA RERUM I RERE KUMKUM
(CYTATY, MANIFESTY, NOTATKI) / OSTATNIA STRONA W WYKONANIU LESZKA PRZYJEMSKIEGO

Co to jest za gazeta?

SKĄD SIĘ WZIĘŁA,
JAKĄ DROGĘ PRZESZŁA
I CO DALEJ
(WSTĘPNIAK #1)

„DL” powstał w 2019 roku jako forma żartu / miniprojektu artystycznego. Chodziło o podkreślenie, że dyskurs o sztuce trójmiejskiej pozostaje na marginesie mejnstrimowej krytyki i sprowadza się do drobnych wzmianek. Pierwszy numer przyjął zatem formę jednodniówki dość dosłownie ilustrującej tę myśl: sporej szpalty wypełnionej lozem ipsum z mikrorecenzjami lokalnych wystaw wydrukowanymi drobnym drukiem na marginesie. Mikrorecenzje zresztą stanowiły pomysł w pomysł: niewielką objętością odzwierciedlały skromność lokalnego dyskursu, ale starały się też wyeksponować jego krytyczne ubóstwo poprzez nadanie kluczowej wartości słowu „fajnie”. Mówiąc prościej, w mikrorecenzjach chodzi o to, że albo coś jest fajne, albo nie. Z czasem jednozdaniowe „recki” trochę się rozrosły, ale zasada pozostała ta sama: jeśli ogółem recenzentowi się podobało, to jest tam gdzieś słowo na „f”.

Wypadkiem przy pracy okazał się fakt, że nawet tego rodzaju wzmianki o lokalnych wystawach są jakimś remedium na niewidzialność. W końcu krytyka (braku) krytyki też jest jakąś krytyką. Mieliśmy sobie z lekką goryczką poheheszkować z tego, że w głównym nurcie nas niezbyt widać, a tymczasem poprzez samorzecznictwo efemeryczne ciało młodzieżowych wystaw okazało się zdolne do odcisnięcia niewielkiego śladu w prasie. Rzecz jasna „DL” nie jest żadnym trwałym rozwiązaniem nadal aktualnego problemu – praca redakcyjno-wydawnicza w duchu „zrób to sam”, którą przyjęliśmy, i idące za nią niewielkie nakłady i zasięgi, nieregularność, a także inne trudności, o których piszę we wstępniku do tego numeru – przekładają się na skromne oddziaływanie naszego pisma. Równie skromne jak w przypadku sztuki trójmiejskiej, o której piszemy. Nie to jednak stanowi o wartości tego projektu.

Mam bowiem mocne przekonanie potwierdzone regularnym, pozytywnym odzewem ze strony lokalnego środowiska, że główną siłą „DL” zawdzięcza idei archiwizowania, zbieractwa wręcz. W latach szczytowej aktywności pisma udawało nam się dotrzeć na niemałą liczbę wydarzeń artystycznych, po których — tak nieco zuchwale sędzę — oprócz wzmianki w „DL” zostało niewiele śladów. Ktoś może powiedzieć: no i co? Otóż to, że dzięki temu, z perspektywy lat, na bazie dostępnych źródeł będzie możliwe odmalowanie trochę pełniejszego obrazu artystycznego Trójmiasta. Uzupełnionego o chwilówki, widoczki z życia przelotnego niezalu, wystawy studenckie (ileż z tych osób nie zrobi przecież artystycznej kariery, na którą mają nadzieję i na którą pewnie zasługują — bo w obiegach pozauczelnianych jest bardzo niewiele miejsca. Historia sztuki zapomni o większości tych twórczych osób). „DL” jest rozwiązaniem — powtórzę — niewystarczającym także w tym aspekcie, ale przecież lepsze nawet rozcieńczone lekarstwo niż żadne. Druga sprawa, że myśl o archiwum, a także samo pisanie i drukowanie — po prostu mnie kręca. A to też ważne, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że w pierwotnym zamyśle „DL” był szybkim, jednorazowym (modne słówko: pop-upowym) art projektem.

Jeśli więc, Czytelniczko, stykasz się z „DL” po raz pierwszy i zastanawiasz może, dlaczego jest tu takie treściowe lelum polelum, czemu daty są od sasa do lasa — to dlatego, że cierpimy na zbieractwo i lekkie poczucie prezerwacyjnej misji. Jeśli coś nie poszło w numerze x, to często idzie w numerze x+1. Treści wypadają z numeru najczęściej dlatego, że po prostu nie wystarcza osobistej energii na ich sensowne opracowanie (zostają jednak na dysku w postaci gulaszu screenshotów i pliczków). A, no i się starzeją, bo nad numerem pracujemy tak długo, aż skończymy. Zresztą w świecie sztuki współczesnej rzeczy się szybko starzeją.

Dlaczego postanowiłem w tym jak gdyby przedwstępniaku opisać genezę i historię „DL”? Bo, po pierwsze, pisząc wstępniak, zdecydowałem się postawić pytanie „czy kończymy z tym pismem” nie tylko w gronie redakcji, ale już publicznie, przed Wami, Czytelnik_czkami. Skoro pytanie padło, to być może odpowiedź będzie twierdząca i wtedy przydałby się jakiś rodzaj podsumowania. To zatem taka summa na zaś.

Po drugie jednak, mam poczucie, że jest to konieczne do zrobienia pewnej klamry wokół problemu niewidzialności. W tym numerze publikujemy polemikę z tekstem Karoliny Plinty i Aleksego Wójtowicza pt. *Scena polskiego niezalu, stan na styczeń 2025*. Publikujemy ją dlatego, że — wbrew powszechnemu w prasie zwyczajowi każącemu drukować polemiki na tych samych łamach, co tekst, który jest polemiki przyczyną — „Szum” nie zdecydował się jej opublikować. Gdy swoim tekstem zwróciłem autorom uwagę, że opisując scenę polskiego niezalu, po prostu przemilczeli Trójmiasto, w którym część niezali przez trzy poprzednie lata organizowała sporą imprezę uwidaczniającą ten nurt w lokalnej sztuce — redakcja odpisała mi, że warto, abym nad swoim artykułem „jeszcze popracował” i „przemyślał jego formułę”. Cóż, jeśli tekst jest aż tak zły, to przecież skompromitowałbym się przede wszystkim ja. Poinformowano mnie również, że w artykule Plinta i Wójtowicz po-

dają „dokładne uzasadnienie” swojego wyboru. Nie odnalazłem go jednak. A zresztą — ile jest w Polsce imprez typu Krakęrs czy Wrocław Off Gallery Weekend? Czy aż tyle, że trzeba wśród nich na potrzeby internetowego tekstu dokonywać selekcji uzasadniającej pominięcie Undergdańska?

Zaproponowano mi co prawda opisanie trójmiejskiego fermentu w osobnym tekście, ale odmówiłem. Nie chodziło mi bowiem o wbicie się na stronę „Szumu” za wszelką cenę, tylko o wypunktowanie symptomatycznej dla głównego nurtu pomyłki. Na zadane dwukrotnie pytanie, czy „Szum” zdecyduje się na publikację polemiki — nie otrzymałem odpowiedzi. Po drodze za to red. Plinta zwróciła się do mnie per „Michale”. Poczułem, iż jestem tak przezroczysty, że aż trudno mnie nazwać — nawet gdy moje imię jest w mejlu, na piśmie (w przypadku ustnej rozmowy nie miałbym cienia pretensji — sam nigdy nie mogę żadnych imion zapamiętać).

Klamra zatem jest taka: „DL” zaczął się jako odpowiedź na marginalność Trójmiasta w oczach mejnstrimu. Po kilku latach działalności „DL” trochę przygasł i może będziemy go związać. Ale problem braku widoczności pozostaje — czego przykładem jest sytuacja z pominięciem Undergdańska, odmową polemiki, lekceważącym charakterem całej tej sytuacji.

Czy to zatem porażka? Nie, z pewnością nie. Co się udało, to się udało. Zresztą nie chciałbym stwarzać wrażenia, że o Trójmieście nikt, ale to naprawdę nikt nie pisze oprócz nas — pisze i „Szum”, i culture.pl, i „blok”, i „artluk”, i Plinta, i Knera, i Policht, i wiele innych osób. I są u nas nowe pisma, i ziny, i ogólnie dzieje się. Tylko że zbyt rzadko, zbyt mało, żeby się przebić przez tę dziwną barierę między nami a Warsiawą! I nadal w kluczowych momentach (jak szumowe podsumowanie sceny niezalowej) jakby znikamy. Co z tym zrobić — tak ostatecznie — właściwie nie wiem. Pozostaje chyba z ślimaczym uporem robaka szamira dalej zbierać, gromadzić, dokumentować.

KRAŃCZYJC DL

WSTĘPNIAK #2. OSTRZEGAM: *w klimacie*

„przypadkowy koleś opowiada mi w barze historię swojego życia” — jeśli nie masz na takie coś ochoty, to nie czytaj.

Pora spojrzeć prawdzie w oczy: „DL” ledwo zipie. Jest o czym pisać, ba!, jest tyle tematów, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Ale życie już nie to, co kiedyś. Kiedyś to były czasy, a teraz nie ma czasów? Tak, ale w liczbie pojedynczej: kiedyś czas był, teraz go brak.

Ale godzin w dobie jest tyle samo, co kiedyś — tylko gęstość się zmieniła. Inną gęstość czasu ma podmiot freelancerski, inną etatowy. Inną singielski, inną małżeński. Inną bezopiekuńczy, inną rodzicielski.

Jest też kwestia gospodarki energetycznej ciała dwudziestoletniego vs. 30+ (i 40+, i 50+, i analogicznie dalej — tyle że akurat tych symbolicznych rubikonów w redakcji „DL” jeszcze nie przekroczyliśmy). Ostatecznie jest też kwestia magnetyzmu uwagi — przychodzi taki etap w życiu, że bardziej interesują techniki ociepleń fundamentów ceglanych niż kolejna mała porywająca wystaweczka.

Do tego, w redakcjach takich jak nasza, sprawy osobiste. Np. dowiadujesz się, że masz ADHD mózgowe wspierane przez ADHD kulturowe (internet: szociki dopaminowe w telefonie, krótkie i szybkie treści, rolecзки, storiki, snippety, tłity, iksy i inne g***). I nie chodzi o to, że jest to jakaś zmiana, która nagle przeszkadza, a nie przeszkadzała kilka lat temu, gdy „DL” wystartował; ADHD było ze mną w różnym natężeniu przez całe życie. Rzecz w tym, że gdy już ktoś z zewnątrz to nazwie, potwierdzi, wyjaśni, gdy już to lepiej wszystko zaczynasz rozumieć — to jedną ręką zabierasz się za ćwiczenia (zgłębiasz teorię i praktykę radzenia sobie z tą konkretną strukturą psychiczną, którą masz — i w końcu zgłębiasz nie byle jak, ale kierunkowo), a drugą ręką trochę przestajesz się biczować. Nie żebym nagle stał się mniej ambitny — ale zyskałem świadomość, że jedną z rzeczy, które wcześniej mnie „motywowały”, były apele do samego siebie: „Mańczak, jesteś beznadziejny, jesteś chaosem, rusz d*** i skończ ten przeklęty tekst”.

Przytaczam w przekładzie na lajtowo-waniliowy, bo nie chcę epatować przemocowym i wulgarnym językiem. Zatem chodzi o pytanie, czy kończenie tego czy innego przeklętego tekstu jest naprawdę warte tego, żeby się tak poniżyć. Na dłuższą metę może lepiej odpuścić i przyznać, że się nie chce. Zwłaszcza że czas płynie (czy jak to było na zajęciach z fenomenologii: czas czasuje) i tematy robią się coraz bardziej nieświeże — kto to niby potem będzie czytał, kto pamięta o wystawach sprzed kilku lat i czy one w ogóle kogoś jeszcze interesują?

Gdy „DL” się zaczął, to była zabawa. A teraz to jest zobowiązanie — bo się pismo rozrosło, coś osiągnęło, wypełniło jakąś lukę, ktoś je czyta, ktoś na nie czeka. Jestem bardzo za to wdzięczny. I nie ma nic złego w zobowiązaniach — powiedziałbym raczej, że szkodliwy jest zupełny brak zobowiązań — problem w tym, że na ich brak to akurat nie narzekam. A lubię pisać, kocham pisać. I „DL” to taka wielka, przyjemna, pisanio-wa przygoda. Raj stukania w klawiaturę.

ALE... nie ma czegoś takiego jak przymusowy raj. Żeby było jasne: nikt mnie nie zmusza. Ja sam się zmuszam. Bo poczucie obowiązku, bo dorobek, bo oczekiwania (nawet jeśli te oczekiwania to tylko własna ambicja). Gdy „jest do zrobienia”, a w dodatku na jakiś termin, nawet jeśli bardzo luźny, to trochę odbiera przyjemność z robienia. Mówią, że jeśli lubisz swoją pracę, to nie przepracujesz ani jednego dnia. NIE. Pracę można lubić, ale to nadal praca. Zabawa, gdy zaczyna być pracą, to już nie jest zabawa. Impreza, na którą musisz iść, to męka, a nie impreza. Nie pomedytujesz, jeśli nastawisz się na konkretny efekt. Nie odpoczniesz, jeśli odpoczywanie będzie zadaniem do odhaczenia. Nie ma czegoś takiego jak przymusowa przyjemność. To strasznie trudne zrobić tak, żeby czuć, że się nie musi.

Trochę mi się to klei z memem, który jakiś czas temu znalazłem. Wyrażał on rozczarowanie,

że „podstawowe ludzkie czynności takie jak tańiec, śpiew czy ekspresja wizualna zamiast być postrzegane jako **zachowania**, są definiowane w kategoriach **umiejętności**”. I wyjaśniał różnicę: że zamiast uprawiać te sztuki dla samego ich uprawiania, celem staje się ich doskonalenie, efekt. A — tu już dopowiadam ja — w parze z doskonaleniem idzie ocena. Ocena z kolei przeszkadza bezinteresowności i autentyczności. Nie wyklucza, ale jednak wadzi.

Punktem zwrotnym w moim życiu artystycznym był moment, gdy zdałem sobie sprawę, że jest ono tak bardzo pozbawione jakichś większych sukcesów, iż nikt poza równieśnikami nie kojarzy mnie jako twórcy. Któraś ze współpracowniczek powiedziała mi: „Byłam przekonana, że jesteś krytykiem i kuratorem. Nie wiedziałam, że też artystą!” i to było nagłe, uderzające, silne. Zostałem kuratorem i krytykiem niejako pobocznie — bo mi to wychodziło, w przeciwieństwie do funkcjonowania w obiegu jako twórca. Cały czas jednak postrzegałem się jako artystę. Aż do tamtego komentarza. On mnie uwolnił. Zdałem sobie sprawę, że skoro nie mam wystaw, nikt mnie nie zaprasza do nich i nie kojarzy — to też nikt ode mnie niczego nie oczekuje. Że moja sztuka nie musi się w nic wpisać. To wszystko oczywistości; można zadać pytanie, dlaczego, będąc zawodowym (wyszkolonym przez Akademię) artystą, w ogóle potrzebowałem czegoś takiego. Otóż Akademia

dała mi niezmiernie wiele, ale niestety odebrała błogosławieństwo ignorancji i bezinteresowność. Z wielu kierunków, które studiowałem, tylko sztuka jest dziedziną, w której uzyskałem dyplom — będąc niepewnym samego siebie, trzymasz się tego zewnętrznego potwierdzenia, tej jedynej pieczętki poświadczającej, że w oczach świata jesteś kimś określonym. A skoro tak, to starasz się wedle tego wzorca realizować.

Nie jest oczywiście tak, że kurczowo się tego trzymałem, bo jak widać, po drodze zostałem kuratorem, krytykiem, menedżerem, producentem, edukatorem, foto- i wideografem. Chodzi mi o to, że przez długi czas czułem się artystą (który jednak musi z czegoś żyć, więc ima się, czego się da), myślałem, że moją główną czynnością życiową jest uprawianie sztuki, a celem osiągnięcie w tej dziedzinie weryfikowalnego, obiektywnego sukcesu. Ale nie udawało się go osiągnąć. Z jednej strony nic nie „bangłało” (= nie działało; to chyba jest trójmiejski regionalizm?), więc nie wiedziałem, w którą stronę iść, jakie cechy swojej sztuki wzmacniać. Z drugiej strony był też rodzaj wewnętrznego przymusu, poczucia obowiązku — więc mniej się chciało. A u zarania mojej twórczości sztuka to była zabawa, wolność, bezinteresowność. Mając jej mniej (bo musiałem, ale nie wychodziło — obydwie rzeczy demotywują), byłem jednocześnie mniej szczęśliwy, mniej spełniony. I tak błędne koło się domykało.

Dopiero tamten komentarz „to jesteś też artystą??” przerwał zakłęty krąg. Skoro jestem kuratorem i krytykiem, to coś mi wychodzi — funkcjonuję w obiegu, tylko inaczej. Skoro nie jest powszechnie wiadomo nawet w naszym małym artworldziku, że jestem też artystą — to nikt ode mnie nie oczekuje sztuki. Skoro nie oczekuje, to nie muszę jej robić. Skoro nie muszę, to w końcu mogę ją robić albo nie robić, kiedy chcę i jak chcę. A skoro tak, to aż chce się ją robić! I to po swojemu! Byle jak! Albo doskonale! I nikt nawet nie musi na to patrzeć!

I tak od dłuższego czasu tworzę tylko do szuflady i na powrót mnie to cieszy, spełnia, uszczęśliwia. Wyrzuciłem wszystkie obrazki z instagrama — i nie oglądam też cudzych — i czuję się o niebo lepiej. Nie sprawdzam, ile mam lajków. Nie interesuje mnie, kogo interesuję. To wspaniałe uczucie.

Tego mi w „DL” brakuje. Jakkolwiek wdzięczny jestem za Waszą, Czytelników i Czytelniczek, uwagę, jakkolwiek Wasza życzliwość i czas nie były dla mnie przysłowiowymi ramionami olbrzymów — chciałbym, żebyście przestali czytać. To paradoks.

Czy mi?

* * *

Nie planowałem się tak obnażać, ale pisanie jest formą porządkowania myślenia, a ja wciąż nie umiem tego do końca przemyśleć. Może ten tekst przybliżył mnie do rozwiązania tego problemu — może ktoś z Was mimo apelu by nie czytać, przeczytał i napisze mi coś w odpowiedzi? Może mimo całej niejednoznaczności tego tekstu część z Was spojrzy na ten problem życzliwie, zrozumie. Na to liczę. I jeszcze raz — niezależnie od tego, czy „DL” będziemy kontynuować, czy nie — dziękuję!!!

PS. Jeszcze krótkie dopowiedzenie w temacie początkowym, czyli dlaczego DL ukazuje się tak rzadko. Jestem twórcą tego pisma i jego redaktorem naczelnym, to ja nadaję mu rytm i porządkuję pracę. Mam AD(H)D. Jedną z cech tego stanu ducha jest tendencja do zmian, żonglerki tematami. W praktyce oznacza to, że zamiast robić jedną rzecz w danym czasie (np. pracować nad jednym projektem), robię ich równocześnie kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt. Wskutek tego każdą z nich robię powoli, bo mój czas i moja moc przerobowa rozsmarowuje (rozdrabnia) się na te x działań. Mam projekty, które ciągnę od lat. Dokładałam po mikrokawałeczku i to niestety niesystematycznie.

I jeszcze odnośnie intencji tego tekstu:

W zeszłym roku dostałem diagnozę i to wiele zmieniło w moim życiu. Bardzo chciałbym jednak uniknąć zapału neofity — że teraz wszystko będzie dla mnie ADHDowe, przez ADHD wytłumaczalne i że będę trąbić o tym na prawo i lewo. Tak postępować nie chcę — jeśli zacznę, to niech mnie życzliwa ręka powstrzyma. Ale z drugiej strony częścią procesu uczenia się, jak obsługiwać własny umysł, jest akceptacja: że jest jak jest, byłem i będę rozproszony. A skoro tak, skoro to wpływa na moje zobowiązanie dyskursowe względem Was, Czytelników_czek — to myślę, że należało jednak popełnić nieco ekshibicjonizmu w celu jasnego postawienia sprawy. W nadziei na to, że i z Waszej strony spotka się to ze zrozumieniem i akceptacją. Bo w końcu jest jeszcze Rejection Sensitive Dysphoria...

—— to żart. Unikać zapału neofity.

mikro-
i makro-
recenzje

W TYM NUMERZE NIE MA ZA BARDZO RECENZJI WYSTAW,
BO OD DŁUŻSZEGO CZASU NIĘ CHODZĘ NA WYSTAWY.
MIAŁEM ZA TO KIEDYŚ DWA POMYSŁY...

Pomysły:

→ *chodzić na wernisaże
w gastronomiach i recenzować
mniej więcej tak:*

„Anna Iksińska, *Obrazy i rysunki* w Sexkluziv Coctail Bar na Stoczni. Nie polecam drinka korzennego, za słodki. Za to przekąski bezowe, zwłaszcza w wersji z sosikiem cytrynowym, to majstersztyk.”

...to by było jednak trochę wredne. No i nie znam się na jedzeniu. Dlatego:

→ *recenzować toalety
w miejscach sztuki.*

Np. w czasach, gdy jeszcze były wystawy w **STREFIE INSPIRACJI** w galerii handlowej City Meble (ktoś to pamięta?), byłem bardzo skonfundowany znaczkami na drzwiach.



Jeżeli wyznacznikiem designerskości jest nieczytelność (zwłaszcza w sytuacji, gdy nagli potrzebą), to chyba się udało.

Ogólnie jest jakaś niezrozumiała moda na udziwnianie znaczków toalet. Zamiast po prostu iść tam i załatwić, co trzeba, człowiek stoi przed drzwiami i próbuje rozszyfrować które drzwi są właściwe. Taka sytuacja jest np. w nowo otwartym Kocie przy rondzie Sobieskiego.

W 2021 r. (sic!) zanotowałem sobie:

„**GALERIA UL** Nie ma dostępu do toalety.

GGM Nie ma dostępu do toalety.

KOLONIA ARTYSTÓW W męskiej toalecie leżą obrazy. I bardzo dziwna astro-kurzolapka. Czasami można nie poradzić sobie z zapaleniem światła. Poza tym w porządku, zawsze czysto i pod dostatkiem ręczników papierowych.”

Mam też zdjęcie toalety **CHYBA Z CRICOTEKI** (na górze strony). Symptomatyczne w tej toalecie jest to, że nie widać suszarek ani dystrybutorów mydła – są ukryte za lustrem i oznaczone piktoqramami. I na fotokomórkę. A fotokomórki lubią nie działać, więc stoisz tam jak głupek i machasz ręką pod tym lustrem i nie wiesz, czy robisz coś źle, nie trafiasz, czy po prostu nie ma mydła albo suszarka nie działa. Fotokomórki to zło! Tak samo zresztą jak udziwnione krany. Podam znów przykład Kota: bateria z pokrętłem. Tyle że upływ wody uruchamia się nie przez obrót tego pokrętła, a przez jego odchylenie. Po jaką cholere w takim razie nadawać tej części formę pokrętła (a nie dźwigni)!? To jest celowe wprowadzanie użytkownika w błąd. Forma powinna sugerować mechanizm działania (kręcenie, odchylenie, naciskanie itd.), a nie mylić.



Za to w **CSW ZNAKI CZASU** w Toruniu toalety są dobrze zabezpieczone – przyciskami i kodami, przy czym kod jest na kartce (!!?). Wiadomo, że najważniejsza w kiblu jest jego ograniczona dostępność. I że dobrą praktyką jest upublicznić gdzieś sekretny kod.

* * *

Jakoś w czerwcu 2023 roku ja i Natalia Dopkoska zostaliśmy zaproszeni przez Beati Jolandę Niesytą na niezwykle wydarzenie artystyczne – **zakończenie rezydencji artystycznej na ogródku działkowym w Gdyni i otwarcie tamże wychodka typu toilette sèche**. Wydarzenie prowadzili artyści: Veronica Ohayo i Benjamin California. Była wystawa infografik i przemowy z balkonu. Było oprowadzanie po ulokowanej w altance pracowni tkackiej, było defekowanie do nowo otwartej toalety, było międzynarodowe towarzystwo (Belgia, Szwajcaria, Reunion...), sporo rozmów po francusku, gra na fletni Pana, były chłodne napoje, ogromna ilość lekkości na styku humoru i sztuki, była huśtawka i naleśniki robione przez mistrza Samuela (możecie go teraz spotkać na ryneczku w Atenach – po tym, jak daliśmy mu zaczyn kombuczy, zajął się produkcją i sprzedażą tegoż napitku w kontynentalnej Grecji). **To było najfajniejsze wydarzenie artystyczne tamtego sezonu i jedno z ciekawszych, na których byłem w ogóle.** I pewnie myślicie teraz, że to żart, ale nie, to wydarzyło się naprawdę. Oto dowód:



GRID ARTHUB NA STOCZNI Drugiego dnia otwarcia w jednej z dwóch kabin w męskiej toalecie już było wyłamane zamknięcie. W toalecie brak jest wieszaków – trudno skorzystać, gdy ma się ze sobą płaszcz, plecak bądź torebkę. 4/5.



Z życia działni

OCH!
W MIEŚCIE SIĘ
TYLE ZMIENIA,
ŻE NIE
OGARNIAM.



Pa pa, PA3! :(



Och! W mieście wciąż tyle się zmienia, że nie ogarniam. W Gdyni zmanifestowały się Przypływy, Wylewy i inne locje. W Sopocie Dawid Wojtalewicz z ekipą co chwilę zajmują nowe lokale i otwierają kolejne wystawy (np. *An Englishman in Sopot* Alexa Rossitera w Nowym Atelier). W Gdańsku po awarii mostu Siennickiego nastąpiło „Oderwanie Wyspy Portowej od Macierzy” (kod QR↑). PA3 i cała reszta pracowni artystycznych (Ksawery Komputery, Prince, X-Press) musieli wynieść się z Żabiego Kruka, bo budynek poszedł do remontu... Bookowska otworzyła intrologatornię w Sopocie, X-Press przeniósł się do Grid Arthuba na Stocznię, a reszta artystów – nawet nie wiem, dokąd się zabrała. Tak wyglądało PA3↑ po wyniesieniu wszystkich gratów. Łezka się w oku kręci, bo sam te ściany wraz z rezydującymi tam później artystami malowałem.

Tymczasem farbę powinno się zabrać osobom, które naoglądały się memów ze śmiesznymi napisami na murach Łodzi (przypadek świętej wojny ŁKS vs. Widzew w wersji bez przekleństw), i myślą, że też mogą pisać poezję:



Serio, nie jesteście ani zabawni, ani poetyccy. Przestańcie wandalizować Główne Miasto!

Co w infosferze miasta? Nadal ukazuje się miejski informator kulturalny „teraz!” — to bardzo dobrze. Zwłaszcza że pismo robi się coraz ciekawsze. Konsekwentna linia publikacji rozmów bardzo mi się podoba.

Pismo „Słowo”, w które niezbyt wierzyłem, bo opierając się w sferze sztuk wizualnych na starych rocznikach artystów, mimo nowości trąciło myszką — jest, jak się okazuje, platformą dla młodych poetów i nawet wydało niedawno antologię.

Jeśli chodzi o wideo, to w TVP Gdańsk pojawił się program *PIN do kultury* (dostępny też na YT). Jak dla mnie trochę krindż, ale lepsze to niż nic. W kontekście wideo warto wspomnieć też o wObrazku.tv — „niezależnej telewizji internetowej z Trójmiasta” (można oglądać na Twitchu). Kanał jest zorientowany bardziej na muzykę, ale są też wtręty ze świata sztuk wizualnych.

Więcej newsów nie pamiętam, kto by zresztą za tym nadążył.



Postscriptum, z ostatniej chwili¹

STOCZNIA zaraz przy 100czni (budynek hali 31B — Niterów 3): otwarcie Grid Arthuba. Otwarcie tłumne, z bogatym programem. Przestrzeń arthuba piękna. Wszystko odnowione, dużo zachowane. Świetny dizajn, ot choćby podłoga z recyklingu — z hali treningowej; pozostawione fragmenty linii meczowych wyglądają genialnie. Inicjatywa zacna. Warto wspierać i kibicować! Nie byłoby „DL” pismem krytycznym, gdybyśmy nie mieli uwag, ale o tym następnym razem — do krytyki trzeba się przygotować. W Gridzie swoje pracownie mają:

Waras, X-PRESS, PB/STUDIO, ciało miasta,
Ania Witkowska, Pracownia S.O.S,
Magdalena Pela, Filip Kozarski

Są też trzy pracownie ze zmiennymi rezydencjami koordynowanymi kolejno przez ASP, miasto Gdańsk i zespół Gridu.

Na otwarciu dostępny był 36-stronicowy „Grid Zin” (albo „Grid. Zin” — zależnie, na którą stronę spojrzeć), numer zerowy.

¹ „Chwili” w kategoriach dyskursowych: czyli pewnie czytacie tego „niusa” wiele tygodni po fakcie. Weekend otwarcia miał miejsce 27–29.06.2025.

ZJEDNOCZENIE TRÓJMIASTA

banus

na

manginesie

Zadziwia mikroregionalność Trójmiasta. Jak ktoś kocha Wrzeszcz, to Wrzeszcz rulez i tylko Wrzeszcz. Poeta Wojciech Wencel napisał kiedyś np. „Kocham Matarnię, nie lubię Gdańska”. Co rusz słyszę, że ktoś nie wie, jak się poruszać po Gdańsku, bo jest z Gdyni i odwrotnie — ktoś wcale nie kojarzy, gdzie co jest w Gdyni, „no bo całe życie w Gdańsku”. Naszej redakcyjnej koleżance Karinie nie chce się ruszać z Sopotu, bo tylko Sopot jest blisko (serca i domu)... Kiedyś więc zechcieliśmy symbolicznie zjednoczyć to miasto złożone z trzech miast wraz z przydatkami, jednocześnie tworząc dla „DL” coś w rodzaju maskotki. Tak powstał miks zwierząt herbowych o nazwie Ślewa (śledź— lew— mewa):



Raporty z frontów wojenek internetowych i i. i. (innych inb)

**NIE MA INB. JEST ZGODA I POKÓJ.
UNBOTHERED.
MOISTURIZED.
HAPPY.
IN MY LANE.
FOCUSED.
FLOURISHING.
JESTEM JEBANYM KWIATEM LOTOSU
NA PIERDOLONEJ TAFLI JEZIORA.**

Tak po prawdzie to artworldowe inby trochę przestały nas interesować. Ale na przestrzeni miesięcy zgromadziliśmy jakieś notatki, więc parę rzeczy wymienimy:

Fala zmian dyrektorów i dyrektorek trójmiejskich instytucji. W fotelu zarządczym CSW Łaźnia zasiada Marta Kołacz. Elvin Flamingo opublikował na Pudelku ASP list otwarty do niej w związku ze swoją wystawą. Na marginesie tego listu wypowiedział się prof. Maciej Śmietański, najjaśniejsza gwiazda polskiej chirurgii brzucha, a zarazem brzuchomówca trójmiejskiego świata sztuki. Wysunął argumentum ad tributarium fabulosum, czyli argument oparty o mitycznego (legendarnego) PODATNIKA. Marta Kołacz odpowiedziała. W sumie nie wiadomo, jak to się skończyło.

Dalszy przepływ fali zmian: Jacek Friedrich zrezygnował przed końcem kadencji. Na jego miejsce wszedł Piotr Stasiowski. GGM trwał przez jakiś czas w dziwnym okresie bezkrólewia. Ostatecznie p.o. została Maria Sasin. Plot twist: podobno mają GGM likwidować, a może go podpiąć pod Łaźnię. Plotki latają w różnych kierunkach.¹

Jadwiga Charzyńska po odejściu z Łaźni idzie na emeryturę. A nie, nie idzie - wypływa w PGSie. A jakiś czas po Friedrichu z MNG kończy przygodę też wice, Agata Abramowicz. Transfer do gdyńskiej Galerii Przepływ.

W obliczu dynamicznych zmian w pejzażu zarządczym Stowarzyszenie Wszystko dla Gdańska organizowało w lutym „Nowe Oblicza Gdańskiej Kultury”, czyli „spotkanie z nowymi kierownikami gdańskich instytucji kultury”: Martą Kołacz (CSW Łaźnia), Barbarą Sroką (IKM),

Piotrem Stasiowskim (MNG) i Martą Szadowiak (NCK). Na spotkaniu frekwencja taka sobie, więc raczej inby nie było, ale ktoś się w końcu zreflektował, że nie z kierownikami, a z dyrektorami, i nie z dyrektorami, a dyrektor(k)ami, bo kobiety to w sumie 3/4 zaproszonego składu - i w innym miejscu już informację przeredagowano.

Na fejsbukach się aktywowała Wiktoria Cukt. I czasami unosi się zapach inby, np. w takim poście z 8 listopada 2024: „Wrażenia po debacie Wiktorii Cukt2.0? Po pierwsze głęboki niesmak że Mikołaj, który w 2000 roku pełnił rolę praktycznie wyłącznie organizacyjną (też ważną), ledwo wiedział co to komputer i miał literalnie zerowy wkład w kreatywną stronę projektu, teraz tak to przedstawia. Goebelsowskie metody zakłamywania historii.” Innym razem na profilu pojawiają się takie posty: „Oświadczenie: Autorem wszystkich wygenerowanych komputerowo wizerunków Wiktorii Cukt, obrazów, plakatów i animacji użytych w kampanii prezydenckiej w latach 1999-2000 jest Rafał Ewertowski. Jest też autorem hasła «Politycy są zbędni». W 1999 roku był pierwszym i głównym inspiratorem pomysłu stworzenia postaci wirtualnej kandydatki na Prezydenta RP i nadania jej atrybutów Sztucznej Inteligencji”. Czytam i się zastanawiam: czy ktoś walczy o pamięć, czy też komuś sąd nakazał publikować jakieś sprostowania? Nie wiem, ale pachnie inbą.

Wskutek inby dowiedziałem się też o istnieniu w Pruszcz Gdańskim Domu Wiedemanna. Zofia Błażko, autorka aktów, umówiła się z instytucją na wystawę indywidualną. Ta niestety została odwołana. Jak pisze autorka: „Najpierw po przesłaniu reprodukcji najnowszych prac

dostałam telefon z galerii, że akt nie może być pokazany, bo blisko jest kościół. Potem dostałam informację, że to urząd. Nawet do głowy mi nie przyszło, że piękno ciała ludzkiego może być problemem”.

Z ciekawości zacząłem guglować co to właściwie jest ten Dom Wiedemanna. I z tego, co rozumiem (wybaczcie ewentualne nieścisłości, nie jestem dziennikarzem śledczym, gdy sprawa jest zawikłana, to czasami po prostu odpadam), to jakby instytucja kultury w strukturze urzędu miasta? W ramach Referatu Ekspozycji i Dziedzictwa Kulturowego? Oprócz wystaw na stronie można zobaczyć fotorelacje np. z rekonstrukcji historycznych z okazji 42. rocznicy wybuchu stanu wojennego. Piękna atrakcja - w budynku referatu zomowcy pałują kobiety. Może kiedyś się wybiorę. Póki co wystarczy mi strona internetowa Domu Wiedemanna i takie kwiatki jak: „Na początku stycznia będziemy mieli przyjemność zaprezentować twórczość Katarzyny Zawieruchy, malarki działającej współcześnie” albo „Sopot, Warszawa, Berlin, Bruksela... a teraz Pruszcz Gdański”. Światowo!

¹ Gdy to pisałem, to było jeszcze „podobno”. Teraz już na pewno chcą, ale są protesty.



ŻAL

Odkopałem z głębin notatek link... (2022)
i coż powiedzieć... żałuję bardzo, że mnie nie
było! Foty są świetne same w sobie! ➔



W momencie gdy skończyliśmy pracę nad poprzednim, szesnastym numerem „DL”, na redakcyjnej skrzynce było 88 nieprzeczytanych zaproszeń na wydarzenia. Rzecz jasna, ponieważ ich nie przeczytałem, to nie wzmiankowaliśmy o nich w żaden sposób w tamtym wydaniu. Dlatego teraz w ramach wdzięczności za te zaproszenia chciałbym je wszystkie wymienić:

- Katarzyna Jankowiak *The green/Zieleń* (PGS)
- *Grafika 15+1* (Zbrojownia Sztuki)
- *Głuchy Telefon ~ Wystawa Pracowni Malarstwa | Prace studenckie z lat 2017-2022* (Galeria ASP)
- *TEMPUS PRAETERITUM rysunki Andrzeja Pniewskiego* (Mała Aula ASP)
- *Przegryś 4 - wystawa pokonkursowa* (Duża Aula ASP)
- filmik *Mary is OK* Joanny Kabali (ICS) – Joanna Kabala ma zresztą coś w rodzaju prywatnego newslettera, co bardzo chwałę!
- Klaudiusz Grabowski *Fenomen Falowca - geneza i recepcja ikony gdańskiej architektury* (GGM2)
- Do widzenia, do jutra (4G)
- Anna Baumgart *Zakop rzeźbę Apolla* (PGS)
- Roman Gajewski *EMERYT* (Mała Aula ASP)
- *Młode Malarstwo w Gdańsku. Dyplomy 2022 - 2023* (Duża Aula ASP)
- Filip Ignatowicz *Kunstrogerie* (Kunstraum Berlin)
- Tomasz Bogusławski *REMANENTY OSOBISTE *#** (Zbrojownia Sztuki)
- *Wystawa Pracowni Serigrafii. Prace studenckie z lat 2013-2023* (Galeria Grafika ASP)
- *Ołowiane chmury* (GGM1 i GGM2)
- *9. edycja Festiwalu Fotografii „W ramach Sopotu”* (PGS)
- *Zuza Golińska Coś Miękkiego, Coś Obcego, Coś Groźnego* (PGS)
- *Autoportret kwantowy* Joanny Kabali (ICS)
- ...
- ..
- .
- .
- .

Dobra, przerosło mnie to jednak. Nie mam siły tego wymieniać i przepisywać 88+ nieprzeczytanych zaproszeń. Wszystkim dziękuję, żałuję, że nie byłem, działajcie dalej, tak trzymać!

manifest bioartu

W TROSCE O DOBROSTAN POLSKIEGO BIOARTU
NALEŻY WYJAŚNIĆ KILKA KWESTII.

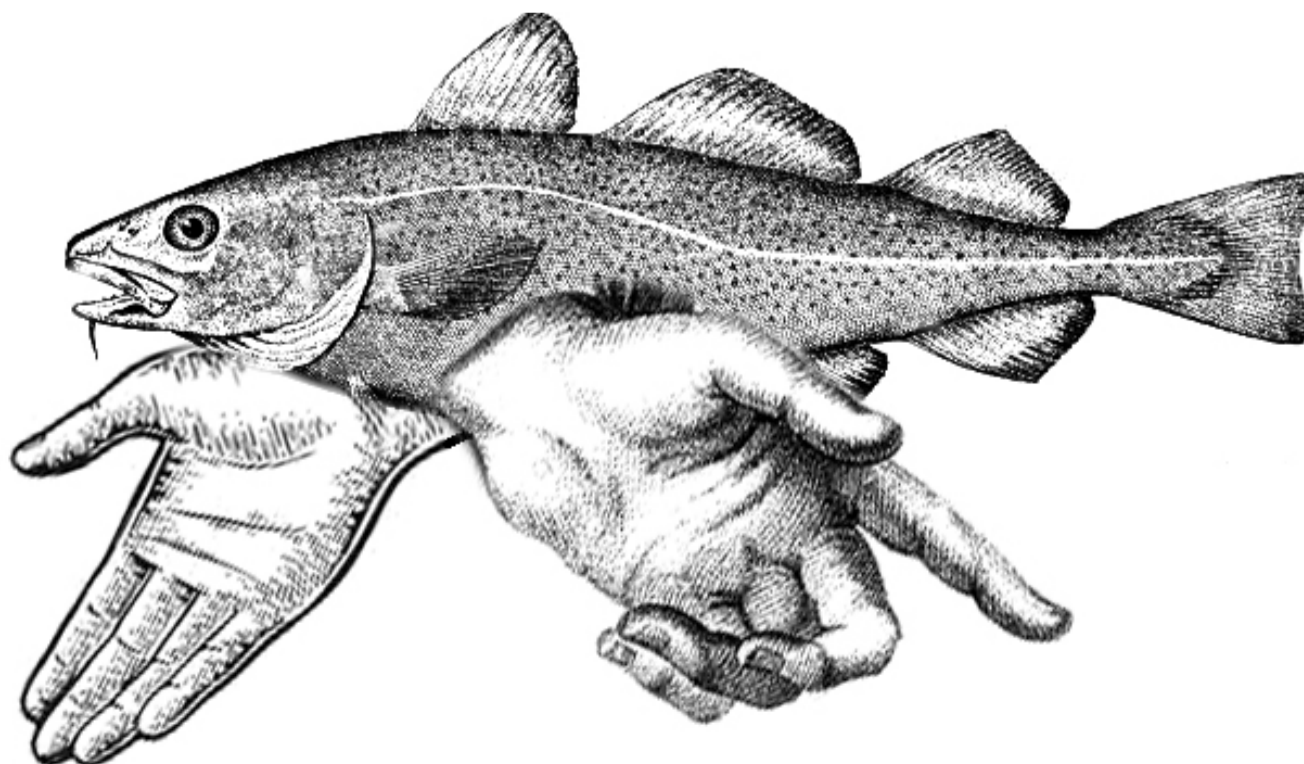
§ 1. W biolchemie najpierw się zakuwa, a potem działa, dlatego warunkiem wstępnym do czytania tego manifestu jest zapoznanie się z jutubowym kanałem The Thought Emporium (QR →) i przedstawianymi tam projektami (np. drożdże produkujące nić pajęczą albo ludzka tkanka nerwowa wyhodowana na płytce elektronicznej i trenowana do sterowania symulatorem lotu). Napręż dendryty, roziskrz synapsy i oglądaj.

§ 2. Jeżeli nie zrozumiałeś, o czym jest ten kanał i co się na nim odbywa, NAWET NIE MYŚL O BIOARCIE.

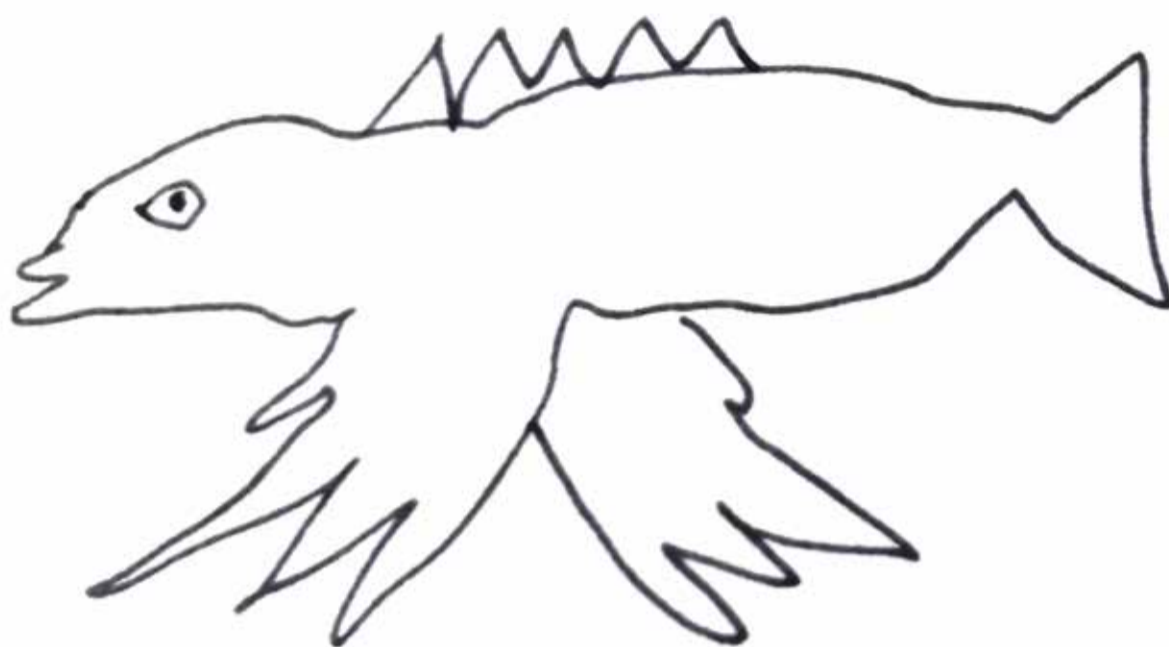
§ 3. Jeżeli nie potrafisz samodzielnie zreplikować czynności prezentowanych na kanale – lub innych czynności bioinżynierskich na analogicznym poziomie – NIE BIERZ SIĘ ZA BIOART.

§ 4. Jeżeli zignorowałeś par. 2 i 3, NIE WYOBRAŻAJ SOBIE, ŻE ROBISZ BIOART.

§ 5. Biowiedza i zaplecze biotechnologiczne przeciętnego współczesnego obywatela (w tym artysty) nie różnią się zbytnio od biowiedzy i biotechnologicznego zaplecza przeciętnego obywatela (i artysty) z, powiedzmy, początków XX w. Fakt, że naczytałeś się foucaultów, stelarków i innych biololo, a także to, że masz spore „biodoświadczenie” – posiadasz ciało i przeszłaś_szedłeś np. pandemię, szczepienia, środki farmakologiczne, zabiegi chirurgiczne – nie wyposaża cię jeszcze w biowarsztat. Oczywiście jako artystka możesz mieć śmiałość i wartościowe pomysły, np. stworzenia hybrydy człowieka i ryby (tzw. arielki). Jeżeli jednak nie posiadasz kompetencji wspomnianych w par. 2 i 3, to twoje możliwości wcielenia tych pomysłów w życie są takie, że możesz albo zapłacić za ich zrobienie komuś, kto się zna, albo coś sobie narysować. Np. tak →



NAJPRAWDOPODOBNIJ JEDNAK ZROBISZ TAK:



BO TAKI Z CIEBIE ARTYSTA.

§ 6. Oczywiście możesz też stworzyć ilustrację rzeźbiarską. Gips i woda = mokre medium. Wizualizacja = wizjonerstwo.

§ 7. Art, który zajmuje się biosprawami jako TEMATEM, jest podzbiorem fanartu (takim fanfikiem).

§ 8 a. Wyhodowanie czegoś na szalce Petriego czyni to bioartem w takiej samej mierze, jak postawienie czegoś w galerii czyni to sztuką.

b. Zaobserwowanie czegoś pod mikroskopem jest tak samo bioartowskie jak patrzenie w teleskop – astroartowskie.

c. Domieszanie do czegoś krwi jest tak samo bioartowe, jak nanotechnologiczno-artowe jest dodanie do czegoś rysika z ołówka – w końcu grafit to taki poligrafen.

d. Hodowla pleśni jest tak samo bioartowa, jak gnijące warzywa w kuchni. Wykorzystanie roślin (nawet genetycznie zmodyfikowanych) jako medium jest tak samo bioartowe jak oranie pola, a zwierząt – tyleż samo bioartowe, co miejskie schronisko.

e. Rzeźucha w klawiaturze jest tak samo biohakerska jak płyta CD w krzakach.

f. Czynienie ze swojego ciała tworzywa sztuki wnosi do kultury mniej więcej tyle samo, co robienie sobie na czole bajgla z soli fizjologicznej. Czyli jest bardzo odważne, postępowe, odkrywcze, inspirujące, oryginalne i przede wszystkim – potrzebne.

§ 9. Podsumowując: myślisz, że wirusy to takie mniejsze bakterie, nie potrafisz narysować cyklu Krebsa, nastawić kości, dawkować alkoholu – a chcesz robić bioart? Nie odróżniasz ekologii od ochrony środowiska, śledziona od grasicy, moczu od mocznika, lasu od puszczy, pH od pecha – a chcesz robić bioart??

§ 10. Nie musisz wszystkiego umieć. Możesz np. ładnie opowiadać o cudzych dokonaniach, jak Norman Leto w *Photonie* (to jeszcze wideo, czy już film? a może fizart? physart?). Generalnie, o ile nie zamierzasz badać archeanów (to już jest sztuka! przynajmniej dopóty, dopóki mało o nich wiemy i trudno je znaleźć), nie rób bioartu. Już jesteś bioartem.

Praktyki

Planowałem niegdyś rozpocząć w „DL” cykl tekstów poświęconych różnym praktykom, z którymi w miarę regularnie spotykam się w artworldzie, a które budzą we mnie zdziwienie, fascynację, rodzą pytania lub emocje. Nie wiem, czy uda mi się ten zamiar zrealizować w pierwotnie założonej formie, ale być może tekst niniejszy będzie jakimś zaczątkiem rozliczenia się z tym pomysłem.

Otóż niespełna siedem lat funkcjonowania Galerii UL sprawiło, że ma już ona jako taką rozpoznawalność i w związku z tym co jakiś czas trafiają do nas propozycje wystaw formułowane przez artystów i artystki. Niestety, prawie zawsze wiadomości ujawniają brak zrozumienia organizacyjnych i systemowych podstaw funkcjonowania naszej galerii¹. Niemal za każdym razem nadsyłane prace rozmijają się (estetycznie, jakościowo, metodologicznie) albo z tym, co dotąd prezentowaliśmy w ULu, albo z tym, co opisujemy w odnośnej zakładce pt. „Współpraca” na stronie WWW². W kwestii niespójności z dotychczasowym programem dodam, że co prawda od lat nie aktualizowaliśmy „tekstów programowych”, ale dorobek galerii jest dobrze udokumentowany i ogólnodostępny na stronie ul.gda.pl.

Stosunkowo mało jest ofert nadsyłanych przez osoby zajmujące się sztuką profesjonalnie, a zgłoszeń od kuratorów bądź kuratorek — jeszcze mniej. Zwykle są to mejle zdradzające nie tylko słabe rozpoznanie obiegu, w którym funkcjonujemy, ale wręcz brak świadomości, że istnieją różne obiegi sztuki. Często za tym idą bądź to kuriozalny ton wiadomości inicjujących kontakt, bądź niskie kompetencje w zakresie skutecznego komunikowania swoich artystycznych osiągnięć i intencji. Mam tu na myśli takie zjawiska jak:

- przesadna bezpośredniość (to gorsze niż nadmierna oficjalność — dystans zawsze można w dobrej atmosferze skrócić, natomiast trudno jest w przyjemny sposób zademonstrować, że druga strona przekroczyła granicę; zacinanie rozmowy z pozycji braku dystansu zawsze niesie ryzyko, że zostaniemy zmitygowani),
- nieadekwatny dobór środka komunikacji (zajawianie rozmowy „ej, a może jesteście zainteresowani wystawieniem moich prac” w DM na Instagramie? serio?),
- prezentowanie swoich prac w sposób nieumiejętny bądź wyrażający niedbalstwo i brak szacunku do odbiorcy (a przecież artyści wizualni powinni chyba choć trochę znać się na

komunikacji wizualnej... jak zatem wytłumaczyć „portfolia” w postaci sraczki losowo ponazywanych polików w Google Drive, nieskadrowanych JPGów, kilkudziesięciminutowych wideodokumentacji performansów?).

Powyższe błędy wymieniłem po akapicie poświęconym amatorom, ale zdarzają się również artystom kształcącym się na zawodowców — równie często, jeśli nie częściej. W każdym razie u profesjonalistów bardziej rażą.

To wszystko jednak, co dotąd opisałem, blednie wobec literackich wyczynów, których bywamy jako założyciele i kuratorzy ULa świadkami, czytając teksty towarzyszące dziełom. Tu bowiem wyjaskrawiają się wszelkie niedostatki nie tyle artystycznego rzemiosła, ile warsztatu myślowego. Tu ujawniają się rozmaite założenia piszących artystów: mania wielkości i skrywana niepewność, merkantylizm i ezoteryczne pop-psychologiczne energo-omamy; tu widać jak na dłoni manipulację, ignorancję, butę.

Chciałbym zatem zasygnalizować trzy cechy, które dość często występują w odbieranych przez nas tekstach.

1 Przykład: piszący sądzą, że jesteśmy galerią komercyjną. Inny przykład: większość oferentów nigdy fizycznie nie była w ULu i nie wyobraża sobie nawet, w jak kiepskim stanie technicznym jest budynek, w którym zamierzają wystawiać swoje dzieła. Zaledwie kilka razy w historii galerii zdarzyło się, że ktoś zaproponował projekt skrojony specjalnie pod przestrzeń ULa. O ile dobrze pamiętam, to tylko raz ktoś wpadł na pomysł, że „site-specificzność” działania można oprzeć nie tylko o fizyczne właściwości przestrzeni, ale też o jej (np. historyczny) kontekst.

2 Przykład: piszemy, że raczej unikamy wystaw indywidualnych — i 90% spływających ofert dotyczy wystaw indywidualnych.

Przekonanie o własnej wyjątkowości

Może ono przybrać formę przeświadczenia, że sam fakt, iż się coś stworzyło, jest wydarzeniem o doniosłym znaczeniu dla świata zewnętrznego. Nie ma nic złego w zadowoleniu z twórczości i chęci podzielenia się nim z innymi. Jednakże radosne informowanie, że udało się spędzić czas w kreatywny sposób, nadać odrobinę sensu codzienności, a do tego efekt twórczej pracy spełnił nasze oczekiwania — jest czym innym niż obwieszczanie, że oto zaistniało dzieło, że powołana do życia została idea, że światło dżenne ujrział artystyczny, „przełomowy” koncept. Zależnie od rozmiarów tego urojenia może ono przybierać formę od lokalnej, przez światową, aż po wszechświatową (kosmiczną) czy wręcz dharmiczną (mesjańskie odkrycie wpływające na całość bytu bądź znaczące na każdym poziomie istnienia). Nie żartuję, naprawdę zdarzają się autoafirmacje tej skali. Wyrazem przekonania o własnej wyjątkowości jest np. nadużywanie (zwł. przez artystów nieprofesjonalnych) określenia „technika własna”. Nagle wszystko, co nie jest olejem na płótnie bądź ołówkiem na papierze — jest „techniką własną”. Dosypanie mąki do farby — technika własna. Nakapanie woskiem — technika własna. Osobiście spotkałem się nawet z tym, że na plenerze kolega nie chciał mi powiedzieć, jak uzyskał pewien interesujący efekt na temperowym obrazie. „Technika

własna!” — powiedział tonem sugerującym, że chodzi o mistrzowski sekret warsztatu. To naprawdę nie był jakiś wyszukany efekt. Odtworzyłem go potem samodzielnie z pomocą internetu i kilku prób.

Ale również zawodowcom zdarza się bombastycznie obwieszczać nieistniejące przełomy. Ot, np. inicjator stoczniowej Galerii W Ruchu, Przemysław Łopaciński, pisze:

Galeria w Ruchu to pionierski koncept artystyczny na mapie Gdańska. Stworzony z byłego kiosku RUCH-u działającego do marca 2020 r. na gdańskiej Zaspie

Doprawdy nie wiem, na czym polega pionierskość w tym wypadku. Że w kiosku? A to wcześniej działań artystycznych w kioskach nie było? Otwartego Studia Antyfaszystowskiego w odrestaurowanym kiosku K67? Złotego kiosku z Wrocławia, obecnie znanego jako NOWY ŻŁOTY? A może chodzi o to, że wystawy odbywają się w ściśle zamkniętej przestrzeni, że się je ogląda przez szybkę? No dobrze, a Galeria Gablotka (też zresztą na stoczni; Maciej Salamon, Tomek Wierzchowski)? A Galeria Sztuki W Oknie (Wejherowo; Marta Papierowska)? A LKW Gallery w kontenerze przy Szopy (projekt prowadzony przez CSW Łąźnia, zainicjowany przez Lexa Rij-

kersa i Daniela Milohnica)? Na czym, do diaska, polega tu pionierskość? Może na tym, że to jest pionierskie na mapie Gdańska? Wówczas racja, galerii konkretnie w kiosku i w Gdańsku chyba jeszcze nie było.

Na pięknej wystawie Józefa Chełmowskiego w Muzeum Etnograficznym¹ znalazłem taki oto cytat: „Każdy człowiek ma swój własny krąg w którym może działać w sposób sobie tylko właściwy, a im mniejsze jego królestwo tym bardziej skupiona jego siła”. Zgadza się z nim całym sercem. Jest siła w naiwności, jest siła w wycofaniu się, ograniczeniu, zamknięciu. Warto jednak zdawać sobie sprawę, że na mapie może istnieć wiele niedostępnych królestw okolonnych nieprzystępnymi górami — nad którymi jednak wisi jedno niebo wspólnej egzystencji. Z licznych prywatnych królestwach z jednakich gwiazd astrologicy odczytują podobne rzeczy. Nie każde takie odczytanie jest od razu przełomem.

1 Chełmowskiego wszechświat wyobrażony, kuratorki: dr Małgorzata Dubasiewicz, Ewa Gilewska.

Jezyk zlego marketingu

W dyskusjach poświęconych kinematografii niekiedy można natknąć się na utyskiwania dotyczące CGI, czyli generowanych komputerowo efektów specjalnych. Najczęściej przybierają one postać jednoznacznej negacji tychże. Mądrą, ale już klasyczną odpowiedzią jest stwierdzenie, że dobrze zrobionych efektów komputerowych widz nie dostrzega, bo zlewają się z resztą filmu i służą narracji, zamiast ją rozsadzać. Przyciągają zaś uwagę tylko źle wykonane efekty.

Podobnie jest z językiem marketingu. Pomijając kwestie etyczne dotyczące granicy między perswazją a manipulacją w kontekście kapitalizmu, dobry marketing jest po prostu skuteczny — wywołuje określony efekt biznesowy, nie narzucając się odbiorcy. Często pozostaje niezauważony, a mimo to nadal wywołuje wpływ. Zły natomiast — sprawia, że dostajemy mdłości.

Jezyk marketingu dotyczy produktów (towarów lub usług). Charakterystyczne więc jest, że sięgają po niego artyści, którzy sztukę postrzegają przede wszystkim przez pryzmat rynku. Wydaje im się to być może konieczne dla pokonania konkurencji (żeby kogoś pokonać w rynkowej grze — w jakiegokolwiek grze — trzeba stosować jej reguły), a być może jest to dla nich naturalny język opisu sztuki, bo po prostu nie mają innej definicji sztuki niż mieszcząca się w kategoriach kapitalistycznych.

No i teraz, czy może istnieć dobry marketing sztuki? Owszem, może. Ale czy ktoś, kto „umie w marketing” sztuki, będzie pisał do niekomercyjnej Galerii UL? Raczej nie, bo i po co (nawet do zbijania symbolicznego „kapitału” poprzez odcinanie kuponów od bohemicznych skojarzeń są lepsze miejsca). Siłą rzeczy zatem jeśli już piszą do nas jacyś wannabe millionaires świata sztuki, to są to janusze (sebki, grażyny, karyny) biznesu. Czyli osoby, które o swojej sztuce piszą językiem promocji, ale niestety — tej mdlącej.

Kilka miesięcy temu na ULową skrzynkę wpadł przykład tego języka tak wzorcowy, że nie pozostaje mi nic innego, jak zacytować obszernie fragmenty owej wiadomości. Żadne bowiem omówienia i opisy nie ukażą równie dobitnie przywar „utowarowionej świadomości” artystycznej.

Warto przedtem jeszcze wspomnieć, że język zlego marketingu, posługujący się hiperbolami i superlatywami, łączy się z opisanym wcześniej poczuciem własnej wyjątkowości poprzez podkreślanie unikalności dzieł sztuki (wszak rynek sztuki jest rynkiem luksusowym, operującym na towarach rzadkich, niedostępnych profanom i biedakom). Często więc mania wielkości idzie w parze z językiem biznesu.

Przechodzę do cytowania:

Jestem młodą artystką, która pragnie wnieść nowe spojrzenie na sztukę współczesną.

Warto mieć ambitne cele już na starcie. Gratuluję. A tak serio: to jest nawet nienajgorzej napisane. Dalej nie dowiadujemy się co prawda,

na czym to nowe spojrzenie miałyby się opierać, z czego miałyby wynikać jego świeżość, ale mowa jest o pragnieniu, więc podprogowo to powinno dobrze zadziałać, zwłaszcza w dziedzinie sztuki, związanej ze zmysłami i pasją. Przytaczam ten fragment głównie ze względu na to, że jest to zdanie otwierające cytowany list. Proszę zwrócić uwagę, że informacją, którą autorka postanowiła przekazać w pierwszej kolejności, jest fakt, iż jest młoda. Obsesja młodości w artworldzie to temat na osobny artykuł, więc tutaj sprawę jedynie sygnalizuję.

Moje prace powstają przy użyciu zaawansowanych technologii sztucznej inteligencji (AI), co pozwala mi tworzyć unikalne i innowacyjne obrazy, które łączą tradycyjne techniki artystyczne z nowoczesnymi narzędziami cyfrowymi.

Zaawansowane, unikalne, innowacyjne, nowoczesne — w jednym zdaniu!

Wprowadziłam również do oferty obrazy malowane ręcznie, olej na płótnie bawełnianym.

Proszę zwrócić uwagę na sformułowanie „wprowadziłam do oferty” — jak gdyby chodziło o katalog części samochodowych.

Moje obrazy są tworzone z dbałością o każdy detal, a do ich produkcji wykorzystuję wysokiej jakości płótno bawełniane, starannie wyselekcjonowane w drukarni. Dzięki temu każde dzieło cechuje się trwałością i estetyką, które zadowolą nawet najbardziej wymagających klientów.

Wysokiej jakości płótno — czyli jakość sztuki wynika pośrednio z jakości użytych materiałów. Przeskoczcie dalej: **dzięki temu** (dzięki jakości materiału) dzieło cechuje się zadowalającą klientów estetyką. Innymi słowy, estetyka obrazu wynika z jakości płótna, i jest ściśle związana z trwałością podłoża.

Starannie wyselekcjonowane. Pamiętacie te reklamy przedstawiające dłonie zanurzające się ASMRowo w workach pełnych ziaren kawy? Starannie wyselekcjonowane ziarna kawy na brazylijskiej plantacji. Wprost do twojej designerskiej filiżanki, a stamtąd co rano — siup! konsumpcja! — do twojego koneserskiego gardełka.

Dotychczas miałam okazję prezentować swoje prace na międzynarodowym portalu aukcyjnym, a moje dzieła zostały docenione przez publiczność.

Innymi słowy: nie mam na koncie żadnych wystaw, a portal pewnie nie istnieje (bo gdyby istniał, to podałyby nazwę, link, cokolwiek).

Moje prace znajdują się w prywatnych galeriach w całej Europie, w tym: Niemcy, Włochy, Francja, Dania, Belgia, Holandia, Hiszpania

oraz Stany Zjednoczone czy Chiny, co świadczy o ich międzynarodowym uznaniu.

W „prywatnych galeriach”? Gdyby były w prywatnych (komercyjnych) galeriach, to tam się ich jakoś specjalnie nie przetrzymuje (tylko sprzedaje, żeby był obrót). Więc może w prywatnych kolekcjach? Tak czy inaczej, oprócz zwykłego chwalenia się (po co aż tak długa lista krajów?), godne uwagi jest, że na liście nie znalazła się Polska. Może więc chodzi o zagranie na polskim resentymencie względem wielkiego rynku sztuki na Zachodzie? „Skoro kupują to w USA, a nawet w Chinach, to musi być wiele warte!” Na wszelki wypadek jednak, aby upewnić się, że czytelnik zrozumie, autorka wyjaśnia nam, że w tym akapicie chodzi o międzynarodowe uznanie jej talentu.

W przyszłości planuję rozwijać swoje umiejętności i eksplorować nowe technologie, aby tworzyć jeszcze bardziej innowacyjne prace.

Czyli: te obrazy to dobra inwestycja, bo będę kontynuować swoją działalność i przez to podbijam wartość swoich „akcji”, zwiększać wartość oferowanego przeze mnie towaru (dzieł). I jeszcze: nowe technologie, innowacyjność — cóż w dobie big techów brzmi bardziej kasowo? Na koniec:

Inspiracje do mojej twórczości czerpię z natury, technologii oraz codziennych doświadczeń.

Typowa mowa-trawa. Natura jest wszędzie. Technologia też. Każdy ma codzienność. To trochę jak niezawodna przepowiednia starej Cyganki: „Będiesz bardzo, bardzo chory. A potem wyzdrowiejesz i będziesz żyć aż do samej śmierci”. Teraz znasz już przyszłość. Daj 5 złotych.

Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to całe epatowanie nowoczesnością i innowacją. Uwierzcie mi, w tych pracach nie było nic innowacyjnego. A samo użycie generatywnej AI, tak samo jak połączenie jej z odręcznymi technikami, jest tak kosmicznie innowacyjne, że internet pęka w szwach od „ejajowych” artystów, a czata GPT do wypełniania wniosków grantowych używają nawet prowincjonalne domy kultury. Zresztą... nie mam pewności, czy duża część tego listu nie została po prostu wygenerowana w ten sposób.

Ilustracyjność, przesadny symbolizm, wizualne szyfry, ahistoryzm

Ostatnia cecha często pojawiająca się w tekstach nadsyłanych do ULa jest dla mnie najłatwiej wybaczną ze wszystkich dotąd omówionych – mniej ma w sobie bowiem z pretensjonalnej wady, a więcej z metodologicznego kinku.

Jak poprzednio, pozwolę sobie zacytować jeden z odautorskich opisów jako przykład:

Obraz przedstawia zderzenie dwóch światów lub stanów świadomości – ciemniejsza, ziemską część kontrastuje z intensywnie niebieskim niebem, które odwołuje się do sfery duchowej oraz eterycznej, kosmicznej. Motyw oczu, z których jedno ma srebrną, a drugie złotą tęczówkę, symbolizuje dualizm: świadomość i podświadomość, światło i cień, wiedzę i niewiedzę. Praca zachęca do refleksji nad naturą postrzegania, tożsamości oraz relacjami między wewnętrznym a zewnętrznym światem.

Dużo autor próbuje upakować treści w obraz, na który składa się de facto sześć dość płasko malowanych plam. I to jakich treści! Z grubej rury: kosmogonia, psychoanaliza, wiedza tajemna, epistemologia, antropologia i okultyzm na jednym płótnie. I o żadnej z tych rzeczy niczego się nie dowiadujemy, oprócz tego, że każda z sześciu plam – wg autora – **coś znaczy**. I w tym właśnie problem: w postawie sugerującej, że każda część obrazu musi coś znaczyć, odsyłać do jakichś pozaplastycznych – najlepiej wzniosłych, filozoficznych, religijnych – terminów lub tematów. Widać tu też nieznośną pretensję pedagogiczną („Praca zachęca do refleksji”): myśl, że obraz ma rozbudzać intelekt widza, nakierowywać go na głębokie treści, pouczać o czymś ważnym. Trzeba uważać z takim upupianiem odbiorców. W tym wypadku jest niezbyt groźnie, bo i przekaz jest niejasny. Ale w skrajnych przypadkach tego rodzaju hierarchiczne podejście – gdy artysta, żywiciel psyche, niejako z góry podaje odbiorcom przygotowany przez siebie pokarm – przybiera formę propagandy: np. politycznej (wychowywanie odbiorców np. przez patetyczne obrazy budzące „patriotyczne uczucia”, zohydzające wrogów czy „dodające otuchy” przez utwierdzenie w określonych przekonaniach) czy religijnej (ugrzecznione, przemilę obrazki budzące „pobożne uczucia”, „zagrzewające serca” do modlitwy albo przesadnie drastyczne sceny ukrzyżowania, mające wzbudzić słuszne współczucie względem Jezusa i żal za grzechy).

Powstaje też pytanie: skoro obraz tak bardzo trzeba objaśniać, to jaką ma wartość **sam** obraz? Inaczej mówiąc, co by z tego tak obciążonego opisem dzieła pozostało, gdyby odjąć odeń ów opis? Czyż nie stałoby się zupełnie niezrozumiałe, niejako zamknięte? Ilu widzów byłoby w stanie bez tekstowych wskazówek odczytać z obrazu przedstawiającego kilka kolorowych glutów na tle zrobionym ultramaryną prosto z tubki, że „Kontrastujące barwy, takie jak zieleń, żółć oraz niebieski, przywodzą na myśl siły natury, cykl życia oraz zmiany, które odzwierciedlają harmonię, zaklętą w spokojnej dynamice”?

Ilu przechodniów zapytanych na ulicy o skójarzenie z „kontrastującymi barwami” odpowiedziałyby: „siły natury, cykl życia, spokojna dynamika”?

W wyobrażeniu niektórych autorów – wydaje mi się, że zwłaszcza amatorów – ideałem dzieła plastycznego jest swego rodzaju kryptograficzna wiadomość od artysty dla świata. Pytanie jednak: dlaczego tak tajemnicza? Gdzie jest klucz? Czy chodzi tu o zabawę w łamigłówki? Czy o budowanie pozycji twórcy jako depozytariusza zaklętej w obrazie prawdy, artysty namaszczonego przez niebiosy do sprawowania misterium oddzielającego miłośników od profanów? A może o jakiegoś rodzaju pokaz erudycji, żonglerkę kontekstami, akrobacje na trapezie nawiązań, płucie ogniem przypisów?

Rzecz jasna, normalne jest zamieszczać w twórczości odwołania do innych dzieł, tematów itd. I równie normalne jest, że odwołania te mogą być mniej lub bardziej oczywiste, przeznaczone dla mniej lub bardziej wyedukowanych/czujnych odbiorców. Odnajdywanie ich jest częścią przyjemności związanej z obcowaniem ze sztuką. No ale bez przesady.

Podsumowując: upakować za dużo treści/sensów/odniesień – niedobrze. A upakować za dużo i do tego niezrozumiałe – jeszcze gorzej. Nie upakować nic – też źle, ale to przynajmniej można rozegrać uczciwie i sprzedać jako walor (wszak abstrakcjonizm był nazywany przez jego twórców „sztuką beztreściową”).

Mam podejrzenia co do przyczyn przesadnego symbolizmu: edukacja szkolna. Godziny analiz wierszy, „co autor miał na myśli”, interpretacji utworów. Upajanie się symbolicznym Malczewskim i Młodopolanami. Gdy uczeń walczy po raz kolejny, że czarny kruk w rogu obrazu „symbolizuje” śmierć, a dynamiczne kompozycje i agresywna plastyka obrazów futurystycznych nawiązuje do fascynacji prędkością automobilu, nabiera przekonania, że z tego właśnie składa się sztuka. I gdy sam bierze się za malowanie czy rzeźbienie, to stara się najpierw zebrać wiadro interesujących go lub ją terminów, haseł, sloganów (np. świadomość, kobiecość, walka dobra ze złem). Potem próbuje z nich zszyć jakiś przekaz – ale niekiedy nie próbuje, zadowolając się samą obecnością elementów składowych. Potem przekłada te elementy lub ich układ na jakieś (mniej lub bardziej zrozumiałe) odpowiedniki wizualne. A potem to realizuje (maluje, rzeźbi, nagrywa itd.). I voilà! Jest sztuka.

Tymczasem tak się nie da (a przynajmniej nie w każdym przypadku). Proces szkolnego omawiania sztuki, czyli identyfikowanie w dziełach symboli i odniesień, ustalanie relacji między nimi, wydobywanie z nich sensów – jest metodą analizy, dekonstrukcji. Nie da się go po prostu odwrócić i zamienić w konstrukcję, twórczość. Tu nie ma symetrii. Można ludzkie ciało pokroić na kawałki, oddzielić narządy i dzięki temu lepiej je zrozumieć. Ale pozszywanie ich nie daje z powrotem człowieka, tylko pokiereszowanego trupa. Czasami uda się dorzucić twórczą iskrę – i powstaje potwór Frankensteina.

W skrócie, często spotykam się w nadesłanych do ULa propozycjach z twórczością, która jest wtórna względem własnych objaśnień i uzasadnień. Na koniec chciałbym zasygnalizować jeszcze dwie rzeczy. Do nich cytuję:

Artysta w swojej twórczości łączy abstrakcjonizm, symbolizm i minimalizm, tworząc obrazy, które mają na celu eksplorację emocji i archetypów ludzkiego istnienia. Dzieła odkrywają eteryczny poziom, na którym rozgrywa się każda przedstawiona sytuacja, odsłaniając rąbek równoległego wymiaru myśli i odczuć. Tym samym każdy obraz to wizualne zaproszenie do refleksji nad tym, co widzialne i niewidzialne.

Pierwsza sprawa: abstrakcjonizm, symbolizm, minimalizm. W jednym znaczeniu są to słowa, które po prostu opisują cechy danej twórczości: abstrakcyjna, czyli niefiguratywna (nieprzedstawiająca, nieodwzorowująca przedmiotów świata fizycznego); symboliczna, czyli zawierająca odniesienia do pozaplastycznych treści; minimalistyczna, czyli operująca uproszczoną formą, rezygnująca z dekoracyjności, bogactwa, nadmiaru, bujności. W drugim jednak znaczeniu słowa te oznaczają pewne konkretne nurty w sztuce. I problem pojawia się, gdy w tekstach słowa te użyte są tak, że obydwa znaczenia się mieszają albo, co gorsza, odczytanie ciąży ku sensowi drugiemu. Powstaje wtedy wrażenie, że artyści pojmują owe nurty jako zjawiska ahistoryczne, tzn. funkcjonujące niejako poza czasem i przestrzenią. Jak gdyby można nadal było być kubistą albo przedstawicielem École de Paris. Otóż nie można. Dziś można być co najwyżej epigonem kubizmu albo osobą czerpiącą inspirację z twórczości Szkoły Paryskiej.

Dlaczego tak się dzieje? Może z niepewności? Z myśli, że jeśli „podepnę” się pod jakiś rozpoznawalny i uznany nurt (który sam w sobie już jest dawno martwy, jedynie jego dziedzictwo jest żywe... – ale myślący ahistorycznie o tym nie wiedzą), to moja sztuka zyska umocowanie i legitymację do istnienia? Przypomina mi się sytuacja sprzed lat, gdy wyznałem Jakubowi Pielechowi, że chciałbym malować jak Van Eyck (byłem młody i miałem doprawdy mocno zaburzone wyobrażenie o własnych możliwościach). Zapytał mnie wówczas: a to nie chciałbyś malować po prostu... po swojemu?

Kolejna możliwa przyczyna to chęć wyprzedzającej obrony niedoborów technicznych: skoro przysłowiowe „trójkąty i kwadraty Picassa albo kwadrat Malewicza są niby wielką sztuką”, to każda sztuka, bez względu na warsztat, może być wielka. Innymi słowy, jeśli powiem, że czerpię z abstrakcjonizmu, to może nikt się nie przyczepi, że wszystko na moich obrazach takie kanciaste. Nie radzę sobie ze skomplikowanymi formami – to uproszczę i powiem, że to minimalizm. Nie umiem posługiwać się figuracją – to podam się za abstrakcjonistę. Itd. No bo też jeśli sztuka – to tylko wielka.

cytadeli
i polskiej
temper

„Możemy iść już teraz,
tylko zaraz, za chwilę”

J. STANISZEWSKI O WYDZIALE INTERMEDIÓW
(PODOBNO)

„Intermediolan”

SŁAWOMIR WITKOWSKI PODCZAS WERNISAŻU SWOJEJ
WYSTAWY BOOMERNETZIN:

„Nie bądźcie zbyt okrutni dla
boomerów, bo to są fajni ludzie”

O PEWNYM DZIELE:

„To ma duży potencjał,
tylko tego nie widać”

– SZUSZ

NA KONIEC ZŁOCISTY CYTAT Z 2022 ROKU,
Z REKLAMY INTERNETOWEJ:

„Festiwal Ezoteryki to jedno z najbardziej magicznych wydarzeń w Polsce! W programie inspirujące warsztaty, prelekcje oraz usługi, dzięki którym każdy uczestnik ma szansę poczuć się wspaniale! Skorzystaj z zajęć jogi uśmiechu, wybierz się w niezwykłą podróż do poprzednich wcieleń, skorzystaj z wiedzy prawdziwego szamana, dowiedz się co to takiego kwantoterapia i poddaj się hipnoterapii!”

Niezał trójmiejski czy

Facebookowa grupa „niezał trójmiejski” istnieje od sierpnia 2018. Została założona przez Alicję Jelińską i Annę Marię Sikorską w celu mapowania lokalnych niezależnych (nieinstytucjonalnych, oddolnych, niekomercyjnych) środowisk twórczych. W ramach tegoż siecjująco-badawczego przedsięwzięcia twórczynie grupy organizowały również spotkania przedstawicielei niezału, nawiązujące do Gdańskich Dni Niezależnych z 1992 r. Mniej więcej do 2023 r. grupa funkcjonowała jako platforma wymiany wiedzy, informowania się nawzajem o swojej działalności i sądzę, że przyczyniła się też do utrwalenia neologizmu „niezał” w języku.¹ Jeszcze w 2018 r. trochę się żyzymaliśmy, że co to za słowo, jakiś żal-niezał. Natomiast w 2024 pisząc wraz Magdaleną Kreis oraz przedstawicielami niezału z całej Polski tekst do NN6T, już bez wahania używałem słowa „niezał”, a i wszyscy współautorzy_rki je bez problemu rozumieli.

Jednym z owoców działania grupy był anonimowy zin pt. „Szmer”, w którym mapowanie niezału przybrało dosłowną formę mapy. Tytuł publikacji był oczywiście pastiszem najpoczytniejszego podówczas pisma krytycznoartystycznego, czyli „Szumu”. Na łamach tegoż Karolina Plinta, Jakub Banasiak i Piotr Policht nieco wcześniej, bo w listopadzie 2016 r., opublikowali tekst przybliżający ówczesne niezałowe realia, zwane wtedy „młodymi galeriami”².

Niedawno zaś, czyli w styczniu 2025 r., redakcja „Szumu” postanowiła wiedzę o offowych inicjatywach zaktualizować i na nowo przybliżyć swoim czytelnikom. W efekcie na internetowych łamach pisma ukazał się tekst autorstwa Karoliny Plinty i Aleksego Wójtowicza pt. *Scena polskiego niezału, stan na styczeń 2025*³.

W trójmiejskim środowisku niezależnych inicjatyw, skonsolidowanym trzema edycjami festiwalu UNDERGDAŃSK, wzmocnionym niedawnymi publikacjami⁴, pojawienie się tego tekstu przyjęliśmy z entuzjazmem i zaciekawieniem. Niestety, lektura pozostawiła nas z poczuciem smutnego zdziwienia i lekkiej konsternacji. Otóż okazało się, że w Trójmieście niezału jak gdyby nie było.

Aby upewnić się, że rzeczywiście istniejemy nie tylko we własnej świadomości, zapytaliśmy ChatGPT.

Bot co prawda niekiedy halucynuje (w dalszej części odpowiedzi sugerował, że częścią nadmorskiego niezału jest np. Galeria Zderzak, mieszcząca się w Krakowie), jednak mimo wszystko jego odpowiedź dodała nam otuchy. Wydało się nam, że jesteśmy. A skoro tak, to powinniśmy jakoś odnieść się do opublikowanego w „Szumie” tekstu.

Już na samym początku artykułu wyłania się ciekawy wątek — mianowicie wzmianka o wystawie *Cała Polska* z 2019 r.⁵. O tejże wystawie Plinta pisała swego czasu tak:

„Pytań o braki oczywiście jest więcej, kuratorka Calej Polski asekuracyjne przygotowała więc listę wszystkich pominiętych inicjatyw i galerii, którą dołączyła do readera wystawy — niestety nawet on był wybrakowany lub odsyłał do galerii już niedziałających (...), co jest niepokojącym sygnałem, że risercz kuratorski jednak nie był wystarczająco głęboki”⁶.

I tak, risercz z całą pewnością nie był dość głęboki. To właśnie na tej wystawie, bombastycznie ogłaszającej tytułem, że reprezentuje

całą Polskę, zupełnie pominięto Trójmiasto i okolice. I nikt z jej organizatorów by się tym pewnie nie przejął, gdyby nie fakt, że wystawę zaproszono z Wrocławia do Gdańskiej Galerii Miejskiej i z grubsza pół roku później miała się tam zmanifestować pod tytułem *Cała Polska. Wyprawa do źródeł sztuki. Vol. 2*⁷. Zorientowano się wówczas, że jakoś tak głupio robić w Gdańsku wystawę o niezałach bez udziału gdańskich niezałi i na tę okazję dokooptowano ich kilka. Wyróżniono je hasłem: „Ze specjalnym udziałem trójmiejskich inicjatyw”. Cieszyliśmy się, choć z pewnym skrzepowaniem, bo zaproszenie na tę wystawę miało posmak raczej ratowania niezręcznej wpadki niż rzeczywistego docenienia.

Tak więc otwierając tekst o „stanie niezału na styczeń 2025”, Plinta przywołuje wystawę, której kilka lat wcześniej zarzucała, że się „nie klei” i że „można było odnieść wrażenie, że pracując nad nią Anna Mituś chyba sama do końca nie mogła się zdecydować, o czym ona ma być”. Jak widać, niestety, historia lubi się powtarzać.

Wydawać by się mogło, że autorzy wykazują się wyostrzonym słuchem na głos peryferiów, skoro piszą np., że „w sektorze pozainstytucjonalnym zmieniają się reguły gry i nie wszystko kręci się już wokół idei rynkowego sukcesu, uosabianej przez działalność komercyjną, przeprowadzkę do Warszawy i szturm na Zachód” albo „inicjatywy niezależne jawiły się jako alternatywa dla wędnących pod panowaniem PiS publicznych instytucji sztuki, a także opresyjnego dyktatu centrum, czyli Warszawy”. A jednak, gdzie indziej znajdujemy np. następujące stwierdzenie: „W peletonie niezału — **podobnie jak we wszystkich innych** — wygrywa Warszawa (11 nowych inicjatyw w naszym zestawieniu)”

1 Termin ukuł (chyba) Warna Wiesławski, założyciel portalu muzycznego Niezał Codzienny.

2 Jakub Banasiak, Karolina Plinta, Piotr Policht, *Najciekawsze młode galerie w Polsce*, <https://magazynszum.pl/najciekawsze-mlode-galerie-w-polsce/>

3 Karolina Plinta, Aleksey Wójtowicz, *Scena polskiego niezału, stan na styczeń 2025*, <https://magazynszum.pl/scena-polskiego-niezału-stan-na-styczen-2025/>

4 Yuriy Biley, Magdalena Kreis, *Leksykon Niezależnych Inicjatyw Wystawienniczych* (2024), a także napisana kolektywnie rubryka *Nowy wyraz nr 46* w 156. nrze „NN6T” (2024). Były też mniejsze publikacje, np. zin „Trójmiejska Niszowa” autorstwa Mai Mosiewicz (2023).

5 BWA Wrocław, kuratorka Anna Mituś.

6 Karolina Plinta, *Szara strefa sztuki. „Cała Polska” w BWA Wrocław*, <https://magazynszum.pl/szara-strefa-sztuki-cala-polska-w-bwa-wroclaw/>

7 *Cała Polska. Wyprawa do źródeł sztuki. Vol. 2*, <https://ggm.gda.pl/pl/12146/cala-polska-wyprawa-do-zrodel-sztuki-vol-2/>

miejski. istniejemy?

(podkreśl. moje). Co prawda autorzy uczciwie zaznaczają, że liczebna przewaga dotyczy jedynie **ich** zestawienia. Jednakowoż cztery zdania wcześniej wspominają o wydanym przez NOWY ŻŁOTY we współpracy z MSN *Leksykonie niezależnych inicjatyw wystawienniczych*. Przeglądając go, może nie policzyli, że w owej „książce adresowej” (jak określają Leksykon) z Warszawą nie jest już wcale tak na bogato. Na skompilowanej przez Magdę Kreis i Yuriya Bileya liście stołeczne inicjatywy stanowią z grubsza jedną czwartą – podobnie jak Wrocław (swoją drogą, dlaczego metafora peletonu? Czy to jest jakiś wyścig, *niezal tour de Pologne*? No i – trochę się wyzłościwiam, ale gwoli ścisłości – w peletonie się nie wygrywa).

Kolejne pytanie powstaje w kontekście wymienionych w tekście festiwali łączących lokalne niezale. Że dało się zauważyć Fringe, to jasne. Wrocław Off Gallery Weekend też z przytupem zaznaczył swoją obecność w polskim artworłdzie. Ale mimo wszystko w to, że trzy edycje UNDERGDAŃSKa uszły uwadze redaktorów „Szumu”, dość trudno uwierzyć. Nie tylko dlatego, że dotąd wykazywali się oni czujnością i na swoją pozycję uznanych krytyków zapracowali tekstami. Również dlatego, że Plinta bywa w Trójmieście, nawet na mniej znanych wydarzeniach, jak choćby otwarcie przestrzeni LaboARTorium na Stoczni w 2021 roku¹. Albo dlatego, że jej skrzynka pocztowa była na liście adresów, pod które organizatorzy UNDERGDAŃSKA ślali *press pack* z informacjami o festiwalu.

Ale nade wszystko nieobecność Trójmiasta w „szumowym” zestawieniu wydaje się zagadkowa dlatego, że tekstów odnoszących się do lokalnej sceny niezależnej nie jest wcale

aż tak mało. Nie chcę czytelniczek zanudzić rozwlekłą bibliografią wzmianek i przyczynków – dość powiedzieć, że już w 2013 r. Jakub Knera na łamach „Szumu” (!) konstatował: „Jak wskazują przeprowadzone rok temu badania «Poszerzenie Pola Kultury», większość sektora kultury w Trójmieście jest «izolowana» i tworzy zamknięte środowisko, które nie bierze udziału w ogólnopolskiej wymianie idei”². Stwierdzenie to można odczytać jako wskazówkę, że warto się Trójmiastem zainteresować. I tak w 2021 r. ten sam autor opublikował w „Szumie” tekst poświęcony całkowicie gdańskim niezalom³. Po drodze drobne odnośniki pojawiały się m.in. w „Artluku”, „BLOK Magazine”, culture.pl. W 2022 r. wystartował UNDERGDAŃSK, czyli „raj” (kuratorowany spacer) po gdańskich pracowniach, oddolnych galeriach i off-space’ach, o którym pisały również lokalne media niebranżowe, np. „Zawsze Pomorze”.

UNDERGDAŃSK jest tu szczególnie istotny, stanowi bowiem przykład strategii, jaką trójmiejski niezal przyjął wobec wspomnianej przez Knerę izolacji. Polega ona na samorzecznictwie. Niezal sam stara się zdefiniować, czym jest, i opowiadać o sobie, aby przypadkiem nie zdarzyło się (jak to się wiele razy w historii zdarzało), że kto inny opowie jego historię. Stąd np. tekst pt. *Oddolne strategie* w „Ręczniku”⁴, stąd „niezal podany na tacy”, czyli tematyczny blok *Gdańsk samorobiony* w „Dyskursie Lokalnym”⁵. Stąd rozmowy i debaty w ramach UNDERGDAŃSKa – jedna z nich ukazała się w poprzednim, 16. numerze „DL”⁶.

Przeoczenie Plinty i Wójtowicza rodzi pytania o ich intencje oraz naturę dokonanej przez nich selekcji. Oto bowiem niby próbują zaryso-

wać „jak wygląda (...) obecny horyzont” sceny polskiego niezalu, jednocześnie nie wymieniając ani jednej galerii bądź inicjatywy pomorskiej, pomimo iż są one łatwe do znalezienia w źródłach na które autorzy albo sami się powołują (jak Leksykon), albo z trudem można przyjąć, że o nich nie wiedzieli (jak wysyłany do nich niegdyś pocztą „DL” czy bardziej głównonurtowe tytuły). Z jednej strony są czuli na pomijanie (np. niedawno Plinta nie omieszkała opublikować selfika ze środkowym palcem, fotografując się w przestrzeni Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie i zarzucając kuratorce wystawy *Chcemy całego życia* cenzurę), z drugiej strony pomijający. W kontekście nadawania tekstowi tonu podsumowania, syntetycznego ujęcia, raportu (w końcu to nie „subiektywna lista niezali wg Szumu” ani nawet, wzorem tekstu z 2016 r., „najciekawsze niezależne galerie w Polsce”, tylko *Scena polskiego niezalu, stan na styczeń 2025*) tego rodzaju przemilczenie zakrawa na historyoartystyczną dezinformację.

We wspomnianej recenzji wystawy *Cała Polska* Plinta pisała: „[j]ak widać więc, kuratorem chce być wielu i mało kogo obchodzą mroczne konotacje (władza, narzucanie narracji, kształtowanie dyskursu...) związane z tym zawodem. Pytanie, czy każdy potrafi?”. Jeśli przyjąć, że redaktorzy „Szumu” są w pewnym sensie kuratorami wiedzy o polskiej sztuce⁷, to może wyglądać na to, że również ich przestały obchodzić mroczne konotacje związane z tym zawodem. A jeśli to z kolei jest prawdą, to dla polskiej krytyki raczej niedobrze.

1 Debata *Kolekcja niemożliwa*, zorganizowana przez Fundację Wyspa Progress w kontrze do inauguracji NOMUSA.

2 Jakub Knera, *Nie(d)ocenione peryferia: Gdańsk*, <https://magazynszum.pl/niedocenione-peryferia-gdansk/>

3 Jakub Knera, *Oddolny Gdańsk*, <https://magazynszum.pl/oddolny-gdansk/>

4 Jakub Knera, *Oddolne strategie*, „Ręcznik” nr 5/2022, https://www.laznia.pl/up/ksiegarnia_recznik_pliki/pl_8_0.pdf

5 „Dyskurs Lokalny” nr styczniowo-kwietniowy (13-14) 2021, <https://dyslok.pl/DyskursLokalny13-14.pdf>

6 „Dyskurs Lokalny” nr grudniowy (16) 2024, <https://dyslok.pl/DyskursLokalny16.pdf>

7 Ze strony magazynszum.pl: „Szum to największe w Polsce archiwum tekstów o sztuce”. Albo snippet z Google: „Komentujemy najważniejsze wydarzenia, dowartościowujemy marginesy, dajemy głos.”

Chociaż
zima

Z mojego francuskiego ogrodu zinologicznego zrobił się ogród angielski. No dobrze, nawet nie angielski. Po prostu zarośla między blokami – chaos. Ziny pomieszały się z niszowymi, ale jednak „normalnymi” gazetami; druki już opisane na łamach „DL” z nowymi nabytkami; akcydensy zbierane podczas zagranicznych peregrynacji po muzeach z pocztówkami odkopanymi w księgarniach zapomnianych galeryjek; odręczne notatki do tekstów z ulotkami z wystaw, biletami, szkicami łazienki przed remontem... Za każdym razem gdy przychodzi do takiego porządkowania cielska papierów, czuję się jak św. Jerzy wobec smoka. Jak go pokonuję?

Dzielenie – najpierw łapa, potem noga, później ucho, język, ząbek... co się napatoczy, ważne, żeby ciąć po kawałku. Dlatego na pierwszy ogień wymienię kilka druków, co do których mam dość dużą pewność, że ich jeszcze nie opisywałem, plus kilka takich, które akurat pierwsze wypadły z wora.

ZIN REGION prezentujący prace artystów_tek związanych z Dolnym Śląskiem, wymyślony i przygotowany przez Magdę Kreis. Ładny. W zestawie piękna zakładka. Przy okazji zamawiania tego zinka posprzeczałem się z Magdą o to, czy Zielona Góra jest częścią Dolnego Śląska, czy nie. Jagna Domżalska zaprosiła mnie – jako grynbergianina – do dolnośląskiej wystawy *Immer Noch* w Kunsthalle Görlitz, więc czułem, że ZIN REGION jest też mój. Jak widać, nie jest to oczywiste. Cóż, o tożsamość też trzeba walczyć. (Tak czy inaczej, zina polecam).

Zin, który znalazłem w **CENTRUM DOLNA BRAMA**, powstały – tak podejrzewam, bez większej pewności – podczas jakichś warsztatów młodzieżowo-dobrostanowych w Stowarzyszeniu Arbus? Podałbym tytuł, ale jest w stylu hipopowego taga malowanego grubym mazakiem, więc nie da się go rozczytać. Czysto wizualnie tytuł wygląda na **Set up!**, ale na logikę to raczej **Stres**, bo „publikacja ukazuje spojrzenie gdańskiej młodzieży na sprawy związane ze stresem. Na jej łamach ukazujemy techniki wspierające wewnętrzną spójność, którą postrzegamy jako stan harmonii ciała i umysłu, wyrażany przez poczucie spokoju”. No i zin jest bardzo spójny, jeśli chodzi o estetykę: w całości koszmarny. Nie chcę jednak nadmiernie krytykować, bo bardzo dobrze, że takie publikacje powstają. (Proszę tylko, zadbajcie o jakąś rozczytywalną stopkę redakcyjną – bodaj tytuł i rok wydania!).

Jakoś nie było chyba okazji wspomnieć o zinie dyplomowym Mai Mosiewicz, czyli **TRÓJMIEJSKIEJ NISZÓWIE**. Wydana w 2023 r. publikacja w bardzo atrakcyjny sposób prezentuje wybrane trójmiejskie niezale. Trzy egzemplarze można było wygrać podczas ostatniego Undergdańska. Polecam! Fragment można podglądać na stronie <https://ul.gda.pl/prasa/>

WYSPA-WYDMO to bardzo uroczy zinek-składanek wydany latem 2025 przy okazji projektu *Przestrzenie sztuki* organizowanego przez IKM i GAK. Towarzyszył spektaklowi tanecznemu pod tym samym tytułem (choreografia i wykonanie Joanna Gruntkowska, Małgorzata Suś).

W stercie papierów mam też stronę z **POLITYKI** z 29 X 1994. Znalazłem ją chyba na podłodze dawnego BWA w Kielcach, które ukradkiem zwiedziłem jakoś w 2022 r. pod nieobecność robotników, którzy poszedłszy na obiad, zostawili budynek otwarty. Na górze strony 7. widnieje wielki nagłówek „Gałąź szatana” otwierający artykuł o samobójstwach na Śląsku. Jednak 50% strony zajmuje zdjęcie biznesmena w garniturze i z kaskiem budowlanym w ręku, a jakieś 30% reklama MS Office. Przytoczę ją, bo fajnie jest przypomnieć sobie, jak na początku lat 90. nieoczywiste było posiadanie w firmie komputera z pakietem biurowym: „Microsoft Office po polsku to zestaw czterech programów dobranych tak, by zaspokoić potrzeby wszystkich działów Twojej firmy. Zawiera on słynący z wszechstronności i prostoty obsługi [sic!] edytor tekstów Microsoft Word 6.0, [...] program grafiki prezentacyjnej Microsoft PowerPoint 4.0 i licencję na pracujący w sieciach komputerowych program elektronicznej poczty Microsoft Mail 3.2. [...] Dysponując Microsoft Office Twoje przedsiębiorstwo zapomina o wielu problemach”. Ja wołałbym zapomnieć o istnieniu MS Office, no ale cóż – to perspektywa 30 lat później.

Niestety, to co warto by zapomnieć (jak okropny software Billa Gatesa) – pozostaje w świadomości, a to, co z kolei należałoby pamiętać, umyka. Niedostatek pamięci daje mi się we znaki w sytuacjach takich jak ta, kiedy wśród papierzysk znajduję pocztówkę przedstawiającą damę ubraną kuso i obciśle, w tęczowej peruce, stojącą na tle meteorytu w przestrzeni kosmicznej, z napisem „the Apocalypse is coming”. Na odwrocie jest kod QR oraz link do strony votecocorico.com. Oraz odręczny podpis artystki z serduszkami. No i pamiętam jak przez mgłę, że tę pocztówkę dostałem od owej artystki. Chyba gdzieś w Niemczech. Ale kiedy i w jakich okolicznościach – za Chiny sobie nie przypomnę.

Podlinkowana strona www niestety już nie istnieje, choć zachowała się w Internet Archive. Niestety, tylko częściowo – menu strony było zrobione w jakiejś dynamicznej technologii à la Flash, więc crawlers nie przeszły zawartych w nim linków. **Coco Rico** zaś to tak popularna fraza, że nie sposób artystki działającej pod tym pseudonimem szybko wygooglować we współczesnych materiałach (o ile istnieją).

Mam za to inną, bardzo uroczą pocztówkę. Dostałem ją w 2022 r. w Instytucie Cybernetyki Sztuki. Ilustracją jest praca **Wojtka Sosnowskiego** *my clear mind in 2022*, a na odwrocie znajduje się odręczna wiadomość od artysty: „chodzę błędę kocham nienawidzę (sztuki spragniona dusza).. jedną kartkę dzisiaj tobie daję.. więc uśmiechnij się.. trochę..”. Wojtku, trochę się uśmiecham!

Uśmiecham się też na wspomnienie oficjalnego studia tatuażu Marty Wawrzynowicz, czyli **ONIRIC SPACE** (luty 2023, choć studio działa od sierpnia 2022). To był w zasadzie wernisaż zbiorowej wystawy, przyjemny zimowy wieczór. Ukradłem wtedy voucher na tatuaż – nie po to, żeby go wykorzystać (to zresztą pusty blankiet bez pokrycia), ale dlatego, że był bardzo ładny. Marta ogólnie pracuje bardzo estetycznie, zatem polecam. (Ciekawostka: voucher nie mieści się w dołączonej kopercie – jest za długi o kilka mm).

To nie zin, ale ma zinkowy format i jest bardzo ładna – chodzi o publikację **TEATR LALEK JERZEGO KOLECKIEGO** wydaną w 2017 r. przez BWA w Tarnowie. Być może z powodu swojej urody książeczka przetrwała na półkach BWA aż do 2022 r., gdy ją znalazłem. Chciałbym, aby więcej katalogów do wystaw było tak schludnie wydanych. Wypadło ze smocznego brzucha, opisałem, przechodzimy dalej.

13 grudnia 2023 – **DZIEŃ KSIĘGARŃ KAMERALNYCH**. Wydawnictwo wyjątkowe, bo wydane przez, nomen omen, Gdańskie Księgarnie Kameralne. Znalazłem ten zeszytek w Księgarni Kameralnej Książka i Wino w Oliwie, podczas *Wystawy przyJAŻNI*, kuratorowanej przez Justynę „Dżastę” Michelle Kwiecińską (tę od Garażu130), w ramach której prezentowano prace naszej koleżanki Kaszy (Aszy Nirale) i Estery Ra. Ale do publikacji wracając: świetnie, że się księgarnie kameralne zrzeszyły. Dobrze, że miasto Gdańsk coś próbowało (próbuje) pomóc. Cieszę się, że powstała ta broszurka pod red. Grzegorza Czeakańskiego, mieszcząca w sobie dość estetycznie zaprojektowane rozmowy z twórczyniami gdańskich księgarni kameralnych. Polecam, chciałbym więcej takich wydawnictw. Poleciłbym przy okazji instagramowy profil @gdanskie_ksiegarnie, ale chyba coś przymarł. Trzymajcie się, nie zdychajcie!

A jak już jesteśmy przy zdychaniu, to mam też zin **OUR DAILY DYING** wydany w 2023 przez Monikę Kozak, Wojciecha Ulmana i Zbioka Czajkowskiego. Niby spoko, ale w sumie nie wiem po co.

Jasny cel za to widać w publikacji pod wymownym tytułem **WKURWIA MNIE HAŁAS WIZUALNY** (2023) autorstwa 5000człowiek5000. Dużo we mnie emocji wzbudziła ta broszurka. Bo z jednej strony – mnie też wk***! I to jak. Mógłbym nawet powiedzieć, że gdyby w otaczającej mnie przestrzeni było mniej wizualnego hałasu (konkretnie: mniej ZNAKÓW, czyli komunikatów, piktogramów, napisów na ubraniach, produktach, autobusach, znaków drogowych itd. – mniej wszystkiego, co chce mi coś przekazać), to byłbym szczęśliwszy. ALE mam trochę problem z pozycją, z której autor się wypowiada. Bo z jednej strony zaznacza, że „nie odczuwa żadnej niechęci wobec autorów” hałaśliwych (= źle zaprojektowanych) szyldów, banerów, billboardów, ale to tylko „ponieważ zdaje sobie sprawę z tego, że wiele osób jest zwyczajnie nieświadomych popełniania błędów”. Wyznaje też, że jest mu „jednak przykro, że edukacja na tej płaszczyźnie nie jest tak powszechna, aby więcej osób czuło się swobodnie operując językiem wizualnym”. Jest w tym wszystkim zatem jakaś skrywana wyższość. Co więcej, bycie zawodowym grafikiem każde autorowi sądzić, że krzykliwość reklam wynika z tego, iż ich autorzy nie posługują się swobodnie językiem wizualnym. Jest wręcz odwrotnie – oni mistrzowsko się nim posługują! Problem w tym, że swoimi projektami grają nie tyle w dobre projektowanie, w etyczny i estetyczny marketing, tylko w grę polegającą na tym, że wygrywa ten, kto głośniejszy, większy, jaskrawszy, bardziej narzucający się, siłą wręcz przyciągający wzrok. Taka jest estetyka, taka jest konwencja. Autor pisze: „zaczęłem traktować to podobnie jak hałaśliwe (dźwiękowo) zachowanie w miejscu publicznym, które często sygnalizuje mi brak kultury”. To trochę tak jak gdyby Skandynaw czy Japończyk oskarżał o brak kultury Włochów czy Greków – bo są ekspresywni i głośni. Przedyskutowałem to swego czasu z autorem zina i wyszło na to, że choć krzykliwość mu przeszkadza, to z drugiej strony fascynuje i czerpie on z niej inspirację do własnych projektów (nawiązujących do *ignorant style'u*). No więc jakoś ten tekst w zinie jest nietrafiony.

Jeśli zaś chodzi o etyczny marketing, to mam wrażenie, że lodziarnia Lodove Love przy ul. Małomiejskiej na Oruni żadnego marketingu nie potrzebuje. Zdarzają się tam co prawda huczne minifestyny i akcje w stylu „wojna na napiwki: kobiety vs. mężczyźni”, ale jestem pewien, że i bez nich lokal byłby przez cały sezon oblegany przez pół Oruni, Oruńskiego Przedmieścia, Oruni Górnej i Chełmu. Bo są tam przepyszne lody. Ale dlaczego nagle piszę o lodziarni? Ano dlatego, że latem 2022 wydała gazetkę **WIEŚCI LODOVELOVE** pod mylącym numerem 7 (w rzeczywistości to był pierwszy i jedyny numer). Całym sercem popieram tę inicjatywę, bo jest to doskonały materiał źródłowy do późniejszych badań życia dzielnicy. Chciałbym tylko, aby pismo było obszerniejsze i kontynuowane. Kibicuję.

Wspominałem chyba o **GAZECIE DOBRA**, czyli biuletynie dla osób współpracujących z Fundacją DKMS (polecam osobom gotowym uratować życie chorem na nowotwory krwi). Otóż jest też podobna publikacja (rodzaj rocznika wydawanego dla wspieraczy jakiegoś NGOsa) drukowana przez Fundację Panoptykon. Jest to **BIULETYN FUNDACJI PANOPTYKON**, który polecam wszystkim osobom zainteresowanym prywatnością w Internecie i walką z hegemonią big techów oraz inwigilacyjnymi zapędami państwa. Jest dostępny też w Sieci: panoptikon.org, zakładka Publikacje.

Wspomniałem o katalogu wystawy lalkowej w BWA Tarnów, ale mieszaniny druków i druczków wyciągnąłem jeszcze jedną ciekawostkę: **50 LAT KLUBU ŻAK**. Wylądowała w holu Żaka chyba wskutek czyszczenia magazynów, bo to publikacja z... 2007 lub 2008 roku. To rodzaj kroniki, fajne źródło do badania historii tegoż klubu. Jakież było moje zdziwienie i zasmucenie, gdy odkryłem, że nie ma numeru ISBN, a do tego w katalogu Biblioteki Narodowej widnieje tylko jeden egzemplarz i to z Miejskiej Biblioteki Publicznej w Gdyni. Kochani, tak się nie robi! Tak nie można krzywdzić historyków!

Aby nie kończyć tekstu o zinach publikacją instytucjonalną, wspomnę dwa zeszyty autorstwa Aleksandry Kortas: **PROGRES/REGRES ZINE** (2024) i **ŻYCIE ZINE**. Zamówiłem je chyba przez Instagrama. Przyszły pięknie opakowane w bibułę, z listem od autorki wydrukowanym na eleganckim papierze. Z listu dowiedziałem się m.in., że **PROGRES/REGRES** został nominowany w kategorii „Idea” w konkursie Projekt Roku 2023/24 organizowanym przez Stowarzyszenie Twórców Grafiki Projektowej. Całość jest zrobiona ręcznie, w technice serigrafii, a także numerowana w taki sam sposób, jak graficzne odbitki. Podobno każdy egzemplarz jest unikatowy i żadna rozkładówka nie jest podobna do pozostałych m.in. ze względu na swobodne nakładanie farb na sito. Do produkcji użyto materiałów z recyklingu (m.in. tetrapaków po mleku jako matrycy), a zeszyt dotyczy antropocenu. Tego ostatniego nigdy bym się nie domyślił i muszę przyznać, że ideowa strona projektu jest jego najsłabszą częścią. Sam zin bowiem jest raczej beztreściowy, ekspresyjny i abstrakcyjny, a jego wartość tkwi w wykorzystaniu do jego produkcji manualnych technik, zabawy materiałem. Podobnie się ma sprawa w przypadku „ŻYCIA”. To niewielki zbiór kolaży przepuszczonych twórczo przez kserokopiarkę – nie ma tam nic o życiu, a przynajmniej nic, co byłbym w stanie odczytać. W każdym razie w tych dwóch druczkach widoczna jest silna chęć, by zinowatość kultywować, wykorzystywać, by z DIY-drukowaniem eksperymentować. I to mnie właśnie grzeje. Po to właśnie po ogrodach zinologicznych spaceruję!

C.d.n.

Aneks — na tarczach

W nawiązaniu do wspomnianej wyżej nieistniejącej strony Vote Coco Rico, chcę tu zamieścić załączek pewnego pomysłu, którego pewnie nigdy w pełni nie zrealizuję: opisanie rozmaitych prywatnych stronek www, które swoim charakterem nawiązują do nieco przygasłej już idei „strony domowej” (homepage — ale nie w znaczeniu podstrony startowej, głównej podstrony w obrębie domeny, tylko w znaczeniu strony internetowej robionej w domu, przez osobę prywatną, z prywatnych pobudek). Bywają strony tego typu, których cel jest dość jasny, bywają też znacznie bardziej tajemnicze realizacje, ocierające się (lub będące) o net art. Jedną z fascynujących mnie od lat postaci jest niejaki Leszek ‘Eneuel’ Ciszewski, którego spotkałem na łączach w latach 2000. Zalewał on Usenet opowieściami ze swojego życia, w których fikcja (bajki o Pięknej i krainie Arkedocji) mieszały się z rzeczywistością (udowadnianą fotografiami, skanami orzeczeń lekarskich, przelewów, akt sądowych dotyczących autora itd.). Niekiedy ten splot bywał niepokojący — podejrzewałem, że być może są to wypociny człowieka w epizodzie psychotycznym, a ponieważ jego opowieści dotyczyły osób trzecich i bywało, że pachniały stalkingiem, miałem mieszane uczucia. Ostatecznie jednak nic o tym człowieku nie wiem i nie miałem solidnych podstaw, by podejrzewać, że coś złego realnie się dzieje — to wszystko były jakieś urywki, fragmenty, trudne do oceny ułamki niespójnej rzeczywistości. Potem Eneuel zniknął mi z oczu, ale... jego strona istnieje do dziś i chyba jest aktualizowana. Z całą pewnością człowiek ten jest zdolnym programistą i net artowcem. Zajrzyjcie na eneuel.w.duna.pl.

To tylko skojarzenie, luźna asocjacja, ale jeśli ktoś nie słyszał o systemie operacyjnym TempleOS, to niech sobie wygoogluje. Klasyk, jest na Wikipedii, a o autorze można znaleźć minidokumenty na YouTube. Czy to nie jest trochę podobna estetyka co u Eneuela?

W kategorii tajemniczych net artów wypisałem sobie link do dwóch stron studenta kulturoznawstwa, niejakiego Norberta Bukato. Chodzi o projekty *Estetyka Y2K* oraz *Trójmiasto szczęśliwe*. Niestety, strona norbertbukato.com zniknęła z Sieci, a po wszystkim został chyba tylko nius na stronie UG (QR ↓). Gdyby nie niechęć do wstępowania do sekt, to być może zagłębiłbym się w to:

creativesociety.com/pl

Zamiast sekt wołę jednak poczciwe stronki takie jak szczemirscy.pl, czyli drzewo ge-

nealogiczne rodziny Szczemirskich. Albo cztery.pl, gdzie autor opisuje swoje podróże i jak badał „które końcówki słów chętnie się rymują”. I udostępnia swój „syntetyczny słownik polskich rymów żeńskich”. Jest tam też archiwum strony „Wstęp Wolny” (wstepwolny.w.pl) z lat 2000, czyli newslettera prowadzonego przez Piotra Sobolewskiego i Urszulę Samoraj — „o tym, jak w Warszawie spędzić wolny czas nie wydając pieniędzy”. Jeśli więc chcecie zbadać, co można było odwiedzić w stolicy za friko dwadzieścia lat temu, to ta stronka jest dla Was — jak to się wtedy mówiło — cud, miód i orzeszki.

Warto też pooglądać stronę pana Tomka Żółtaka: tomek.zozlak.org. W dziale Kronika są jego rodzinne zdjęcia z wakacyjnych wypadów w góry i nie tylko (jeśli wejdziecie na główną domenę, zozlak.org, to od razu przeniesie Was do zdjęć). Są też linki do zaprzyjaźnionych stron, np. do mama.iluvatar.no-ip.org („zdjęcia publikowane przez Mamę” — niestety już niedostępne) albo strony achjoj.info, czyli bloga Gosi i Filipa Stefaniaków.

Żeby było jasne — nie mam pojęcia, kim są ci ludzie. Po prostu znalazłem te strony i zainteresowałem się nimi jako przykładem starego typu stron osobistych, domowych (czy jak to trafnie określił p. Żółtak, rodzinnych).

Jest w tym coś niedzisiejszego — w takim publicznym archiwizowaniu swoich dokonań i zainteresowań, dzieleniu się. Nie ma w tym jednocześnie wiele z social mediów — bo użyte technologie Web 1.0 nie dają możliwości szybkiej informacji zwrotnej, lajkowania, komentowania. Ot, po prostu, możesz poczytać, a jeśli cię coś zacieka, napisać mejla.

Szkoda jednak, że nie zawsze da się napisać mejla. Jakiś czas temu trafiłem na przeuroczą stronę tramz.com poświęconą tramwajom. Jej autorem jest nieżyjący już mikoł, Allen Morrison, pionier badań nad historią tramwajarstwa w Ameryce Południowej. Jego strona w 2005 roku otrzymała nagrodę Best Web Site Award przyznaną przez Stowarzyszenie Amerykańskich Geografów.

Jakiś czas temu uśmiechałem się z zabawieniem, wspominając czasy, gdy w prasie drukowanej ukazywały się zestawienia typu „Najlepsze strony w polskim Internecie”. Ironia losu! Właśnie sam napisałem taki artykuł. W 2025.

Postscriptum

W poprzednim numerze krążyłem wokół pytania, czym właściwie jest zin, co definiuje zin jako kategorię. W kontekście niejednoznaczności zgubiłem jedną notatkę, którą chciałbym teraz dorzucić: otóż „zin” może powstać nawet przy wsparciu popularnej platformy internetowej i w rękach takiej gwiazdy jak Spike Jonze. W zeszłym roku WeTransfer wydało „The Day I Met Björk”, czyli „an exclusive zine of never-before-seen images from iconic 90s pairing”. PDF zawiera prywatne zdjęcia Jonze’a przedstawiające Björk. No i powiedzcie: zin czy nie zin?



Wzrost wzrostego

Z LESZKIEM SZELIŃSKIM, WSPÓŁZAŁOŻYCIELEM
INICJATYWY GDAŃSKIEJ I WSPÓŁTWÓRCĄ „RÓŻOWEGO PULSU”,
ROZMAWIA MAKSYMILIAN WRONISZEWSKI

JAK POWSTAŁA INICJATYWA GDAŃSKA?

Jako nieformalna grupa IG zaistniała w maju 1992 roku, od 2 lipca funkcjonowała w strukturach Stowarzyszenia Grup Lambda jako jeden z jego oddziałów terenowych, zaś 14 lutego 1995 powołaliśmy do życia samodzielne stowarzyszenie. Zrobiliśmy to, ponieważ pojawiła się możliwość nawiązania oficjalnych kontaktów z różnymi urzędami i organizacjami, także z zagranicy. Głupio byłoby tej szansy nie wykorzystać. Gdybyśmy pozostali niesformalizowaną grupą znajomych, nikt by nas poważnie nie traktował, a tak staliśmy się organizacją, której status pozwalał na kontaktowanie się z innymi instytucjami jak podmiot z podmiotem. Jako grupa nieformalna nie mielibyśmy na przykład żadnych szans na pozyskanie od miasta jakiegoś lokalu na działalność na preferencyjnych warunkach. Formy prawnej, w jakiej działaliśmy, nie traktowaliśmy oczywiście jako celu samego w sobie, lecz jako narzędzie, które modyfikowaliśmy w miarę rozwoju organizacji.

JAKIE CELE SOBIE STAWIAŁIŚCIE?

Pomysł na IG na początku był w zasadzie dość prozaiczny – nic wzniosłego, żadnych wielkich idei. Zaczęło się od mojego kontaktu z „Filo” – trochę pomagałem w redakcji, pisałem wstępniaki do rubryki z ogłoszeniami, po prostu kręciłem się z tymi ludźmi. W pewnym momencie dowiedziałem się, że obiecujący projekt współpracy ze szwedzkim RFSL¹ w ramach ILGA² Twinning Project – współpracy dużych zachodnich organizacji LGBT z początkują-

cymi organizacjami w krajach rozwijających się – leży całkiem rozgrzebany, bo Lambda Gdańsk, którą w 1990 roku założył Rysiek Kisiel razem z kilkoma innymi osobami, w zasadzie już wtedy nie działała. Miałem dużo energii, więc postanowiłem w to wejść. Szwedzi oferowali pieniądze na działalność (i wiele innych możliwości, o których jeszcze wtedy nie wiedziałem), ale problemem było to, że w gdańskiej Lambdzie nie bardzo były pomysły, jak je wykorzystać. Wiedziałem że projekt ma jakiś termin zakończenia i jeśli nie wykorzystamy możliwości, jakie daje, to wszystko przepadnie. Zaproponowałem więc profilaktykę HIV i AIDS. Chodziło głównie o dystrybucję prezerwatyw, które oferował RFSL, wśród gejów i druk ulotek, które kolportowaliśmy w Gdańsku – o tych aspektach współpracy ze Szwedami wtedy wiedziałem. I to wszystko – takie były ideowe prapoczątki IG. To był przełom 1991 i 1992 roku; chcieliśmy zakończyć projekt i nie mieliśmy w planach żadnego dalszego rozwoju. Pod koniec 1991 pojechaliśmy z kolegą do centrali RFSL w Sztokholmie, potem Szwedzi przyjechali do nas, a później już we czworo poleciliśmy do Malmö do głównego centrum konsultacyjnego RFSL. Powoli zaczęło mi się to układać w głowie w spójną całość, której z czasem nadałem nazwę. W maju 1992 napisałem coś w rodzaju manifestu czy deklaracji programowej – to był właściwy początek Inicjatywy Gdańskiej – już nie trywialny i merkantylny. Było nas wtedy czterech.

JAK UKŁADAŁY SIĘ RELACJE MIĘDZY WAMI A LAMBDA GDAŃSK?

IG to był osobny, niezależny pomysł. Gdy postanowiliśmy sformalizować naszą działalność, weszliśmy do ogólnopolskiego Stowarzyszenia Grup Lambda jako Grupa Lambda Gdańsk II – Inicjatywa Gdańska. Lambda I, jak wspominałem, wtedy już w praktyce nie funkcjonowała.

O LATACH 90. W KONTEKŚCIE HISTORII LGBT OPOWIADA SIĘ ALBO AKCENTUJĄC CORAZ WIĘKSZĄ ROLĘ KOŚCIOŁA W ŻYCIU SPOŁECZNYM I POLITYCZNYM, A CO ZA TYM IDZIE – WZBIERAJĄCĄ HOMOFOBIE, ALBO WSKAZUJĄC NA ODCZUWANIE CORAZ WIĘKSZEJ WOLNOŚCI W DZIAŁANIACH. JAK TY PAMIĘTASZ TEN CZAS?

Zdecydowanie dominowało poczucie wolności. Ja masę rzeczy załatwiałem w urzędach – Urzędzie Miejskim, Wydziale Zdrowia, w biurze wojewody, prezydenta itd. Pamiętam, że rozmawiałem między innymi z Pawłem Adamowiczem, który był wtedy przewodniczącym Rady Miasta. Chodziłem i dopinałem różne sprawy, a nie przepraszałem, że żyję. Przeważnie widziałem zaciekawienie drugiej strony, bo przecież gej kojarzył się wtedy z seksem w parku albo z gościem czającym się przy szkolnym boisku. A tu przychodzi młody chłopak, normalnie wygląda, siada i rozmawia – to musiało być dla urzędników spore zaskoczenie.

1 Riksförbundet för sexuellas likaberättigande.

2 International Lesbian and Gay Association.

DOŚĆ GŁOŚNY STAŁ SIĘ JEDNAK PRZYPADEK Z 1994 ROKU, KIEDY USIŁOWANO WYKLUCZYĆ WAS ZE SPOTKANIA INSTYTUCJI POZARZĄDOWYCH W GDAŃSKU.

Jako IG braliśmy udział w I Regionalnym Forum Organizacji Pozarządowych w Teatrze Wybrzeże. Mieliśmy bardzo eksponowane stanowisko na parterze, naprzeciwko głównego wejścia, więc ludzie wchodzili niemalże na nas. Wybrałem to miejsce, bo wiedziałem, jak poruszać się w tym teatrze – wcześniej trochę jeździłem na handel i zdarzyło się, że na jakichś targach miałem tam stoisko. To, że byliśmy na widoku, z ulotkami o bezpieczniejszym seksie gejowskim i prezerwatywami na stoisku, nie spodobało się księdzu Bradtkemu z Caritasu, dziś proboszczowi bazyliki Mariackiej, który próbował w tej sprawie interweniować u organizatorów, ale na dobrą sprawę został pogoniony, przegrał z kretesem. Bronił nas wtedy i Jacek Kuroń, który zagroził wycofaniem swojego honorowego patronatu nad forum, i współorganizująca wydarzenie katolicka organizacja z Francji, która postawiła sprawę jasno: albo IG zostaje, albo wycofujemy pieniądze. Opisały to obszernie największe lokalne i kilka ogólnopolskich gazet, z którymi się skontaktowaliśmy.

W ramach kompromisu zaakceptowaliśmy propozycję organizatorów i przenieśliśmy się na pierwsze piętro, gdzie były ekskluzywne stoiska dużych ogólnopolskich organizacji, na które z pewnością nie byłoby nas stać. Udział w imprezie był płatny, ale na szczęście udało nam się pozyskać sponsora – po prostu skontaktowałem się z działem marketingu polskiego producenta prezerwatyw Unimil, który wypuścił właśnie pierwsze prezerwatywy dla gejów Duet. Im zależało na promocji, a nam na pieniądzach na wpisowe, więc szybko się dogadaliśmy. Przy okazji przetarliśmy ścieżkę dla Lambdy, która zwracała się do nich później z prośbą o sponsoring różnych działań.

W 1994 ZACZĘLIŚCIE WYDAWAĆ „RÓŻOWY PULS”. CZAS BYŁ CIEKAWY, BO KILKA PISM GEJOWSKICH, M.IN. „FILO”, „INACZEJ” CZY „MEN”, ZDAŻYŁO SIĘ JUŻ ROZWINĄĆ, SPROFESJONALIZOWAĆ, WEJŚĆ W KOMERCYJNY OBIEG. NA TYM TLE „RÓŻOWY PULS” WYGLĄDAŁ TROCHĘ JAK PISMO Z POPRZEDNIEJ EPOKI. JAKI MIELIŚCIE NA NIE POMYSŁ?

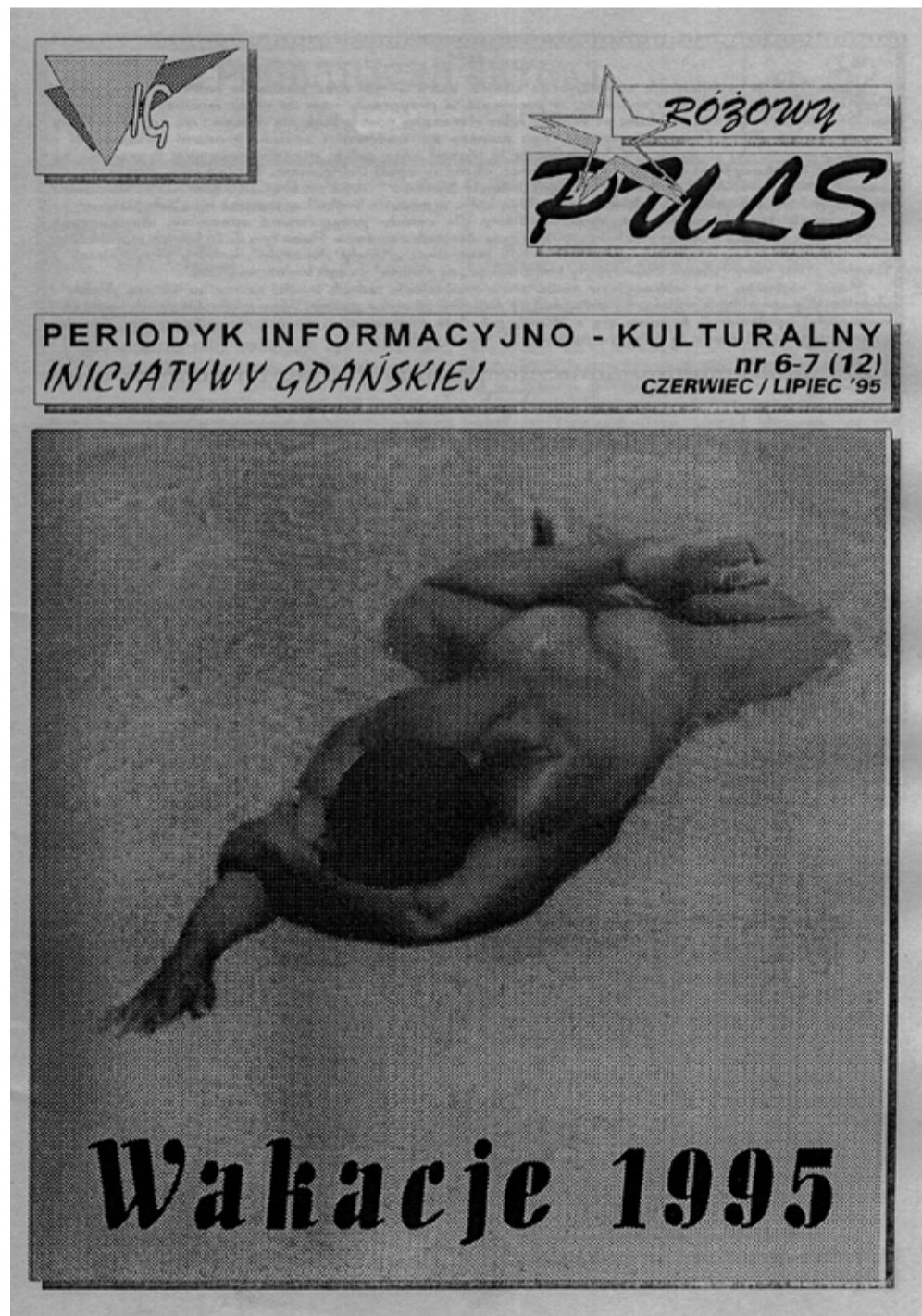
„Różowy Puls” od początku miał być biuletynem informacyjnym IG, nigdy nie mieliśmy ambicji i potrzeby wejścia w szeroką dystrybucję. Ciekawe, że o ile ludzie z „Filo” i „Mena” od razu to zrozumieli, o tyle miałem wrażenie, że redakcja „Inaczej” patrzy na nas z pewną podejrz-

liwością. Może sądzą, że będzie z nami tak jak z „Filo” – że z małego pisemka powielanego na kserokopiarnie przeobrazimy się w profesjonalnie przygotowywany magazyn i staniemy się dla nich kolejną konkurencją, tym bardziej że „Różowy Puls” dość szybko powiększał objętość. Regularnie też wysyłaliśmy redakcji „Inaczej” porządnie przygotowany serwis informacyjny, z którego korzystali, więc mogli zakładać, że zaraz się rozwiniemy. Takiego pomysłu jednak nie było. Chcieliśmy przede wszystkim, by pismo informowało o tym, co dzieje się w naszej organizacji. Do tego dołożyliśmy oczywiście serwis informacyjny z kraju – chętnie pisaliśmy na przykład o tym, co robią inne grupy Stowarzyszenia Grup Lambda – i zagranicy, bo jako członek ILGA otrzymywaliśmy biuletyn tej organizacji. Drukowaliśmy też porady, trochę publicystyki, stronę z fotką znanego aktora lub sportowca, nieco humorystycznych rzeczy czy wierszy, ale to były dodatki. Najważniejsze były newsy i informacje o naszej działalności. Dzięki pismu docieraliśmy do osób z Trójmiasta i innych miejsc Polski, które nie miały z nami bezpośredniego kontaktu. Inne nasze materiały, głównie ulotki, zaprzyjaźnione pisma dokładały do kopert, które rozsyłały do prenumeratorów. Oczywiście my także to robiliśmy.

W JAKIM NAKŁADZIE WYDAWALIŚCIE „RÓŻOWY PULS”? JAK WYGLĄDAŁO JEGO PRZYGOTOWYWANIE OD STRONY TECHNICZNEJ?

Wielkości nakładu nie pamiętam dokładnie, ale na pewno był mniejszy niż nakład ostatnich numerów podziemnego „Filo”. Myślę, że jakieś 100, 200, góra 300 egzemplarzy. Początkowo makiety były przygotowywane ręcznie przy pomocy nożyczek i kleju, a później z wydruków z drukarki laserowej. Potem odbijaliśmy je na ksero – jakość tego była więc żałosna. O ile ulotki o profilaktyce HIV drukowaliśmy w tysiącach sztuk i rozdawaliśmy na prawo i lewo – w kolejkach SKM czy na gdańskich uczelniach – o tyle kolportaż „Różowego Pulsu” był ściśle sprofilowany. Pismo trafiało do prenumeratorów oraz do lokali gejowskich w Trójmieście, takich jak Cafe Lord w Brzeźnie czy pub Mezzo w Sopocie, ale i w innych miejscach w kraju. Napisaaliśmy do wszystkich, jakie istniały w Polsce – te, które wyraziły zainteresowanie, dostawały przydział. „Różowy Puls” można było dostać także w naszej siedzibie – najpierw w Wojewódzkim Ośrodku Doskonalenia Kadr Medycznych, a potem w klubie studenckim Żak. Byliśmy też pierwszą gejowską organizacją w Polsce, która miała stronę internetową – początkowo funkcjonującą na serwerze Radka Oliwy, Polaka mieszkającego w Niemczech, który stworzył „Inną Stronę” – Internetowy Magazyn Gejowski. Później, w ramach jednego w projektów grantowych, stworzyliśmy własną, hostowaną na serwerze NGO.pl.

Pierwszy numer „Różowego Pulsu” przygotował mój chłopak Rafał. Rzucił pomysł, do którego byłem nieco sceptycznie nastawiony, ale gdy zobaczyłem gotowy pierwszy numer, który sam zrobił, byłem już pewny, że warto to kontynuować. Rafał pisał większość tekstów publicystycznych, ja większość newsów. Z czasem coraz więcej osób zaczęło podrzucać nam materiały. Pojawił się chłopak ze Śląska, Sławek, który robił świetne grafiki. Rafał mówił mi, czego potrzebujemy, on to rysował, a my wrzucaliśmy do pisma i na ulotki. Pierwsze numery „Różowego Pulsu” przypominały wczesne „Filo” – z tą różnicą, że mieliśmy komputer, a nie maszynę do pisania. Milowym krokiem było też





Stoisko IG na I Regionalnym Forum Organizacji
Pozarządowych w Gdańsku, 1994

przejście na pełny skład komputerowy dzięki programowi DTP, który dostaliśmy od Sławka Starosty. Wprawdzie obowiązywała już wtedy od kilku miesięcy ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, ale przy opracowywaniu pisma i ulotek korzystaliśmy z zachodnich materiałów graficznych. Przedrukowywaliśmy je oczywiście wyłącznie w celach niekomercyjnych.

PIERWSZY NUMER „FILO” UKAZAŁ SIĘ OSIEM LAT PRZED „RÓŻOWYM PULSEM”, W REAKCJI NA AKCJĘ „HIACYNT”. CZY TO BYŁO TEŻ WASZE DOŚWIADCZENIE?

Nie, to nie to pokolenie. Akcja „Hiacynt” to była dla nas historia, o której dowiadaliśmy się dopiero z czasem. Gdy trwała, pod koniec 1985 roku, wszyscy mieliśmy jakieś 18–20 lat.

W WASZYM PIŚMIE SPORO PISALIŚCIE O TYM, ŻE TWORZYCIE ARCHIWUM RUCHU GEJOWSKIEGO. W JAK SPOSÓB TO ROBIŁIŚCIE I CO STAŁO SIĘ Z WASZIMI ZBIORAMI?

Archiwum było zasilane z różnych źródeł. Materiały dostawaliśmy od zaprzyjaźnionych osób, zabiegaliśmy o nie w innych redakcjach, na przykład „Filo” czy „Mena”, którym czytelnicy podsyłali znalezione wycinki, zbieraliśmy też artykuły z lokalnej prasy. Swoją drogą, gdy coś się w niej pojawiało, to prawie zawsze maczaliśmy w tym palce, więc wiedzieliśmy, czego szukać. Chyba jako pierwsza organizacja gejowska podeszliśmy do tworzenia archiwum w sposób zorganizowany. Dzięki pieniądзом od Szwedów zamówiliśmy w warszawskiej Agencji Prasowo-Informacyjnej „Glob” zestawienie wycinków prasowych. Oni prenumerowali 150 ogólnopolskich gazet i czasopism i kompletowali materiały według zleconych „słów kluczowych”. Dzięki temu regularnie dostawaliśmy prasówkę dotyczącą haseł, które nas interesowały. Całość została skatalogowana, opisana i sklasyfikowana w bazie danych liczącej prawie 1300 pozycji.

DUŻO O WAS PISANO?

Jak na tamte czasy sporo. Głównie w lokalnej prasie, ale mieliśmy też kontakty z ogólnopolską „Gazetą Wyborczą” i innymi tytułami, a poza tym ze stacjami radiowymi. Raz nawet zainteresowała się nami telewizja. W głównym wydaniu *Wiadomości* w TVP 1 pojawił się krótki materiał, który potem został wykorzystany także w CNN i Westdeutscher Rundfunk.

Gdy wyrzucali nas z ODKM-u, cały nasz dobytek i archiwum przenieśli do piwnicy, a tam warunki nie były najlepsze. Z kolei gdy opuściliśmy Klub Żak, trzymaliśmy archiwalia w piwnicy Wojewódzkiej Przychodni Skórno-Wenerologicznej na ul. Długiej. Sądziliśmy, że ktoś w Gdańsku będzie chciał tę działalność pociągnąć, że damy mu pakiet na start, ale niestety nic takiego nie nastąpiło. Ostatecznie wszystko przekazaliśmy do Lambdy Warszawa — wszystkie wycinki, listy, makiety „Różowego Pulsu”, pudła i segregatory z dokumentami, całą bibliotekę, w tym polskie i zagraniczne czasopisma, z którymi prowadziliśmy wymianę. Zostawiłem sobie tylko najważniejsze dokumenty. Cała reszta zasilila warszawskie archiwum, a teraz jest pewnie w Queer Muzeum. Jakies ulotki, a przede wszystkim oba nasze pisma wysyłałismy też do Biblioteki Narodowej...

...SZUKAŁEM – NIE MA ICH TAM.

To może wywalili. Po jednym numerze każdego wydania wysyłałismy jako egzemplarze obowiązkowe.

Co do archiwum, to mam u siebie jeszcze sporo zdjęć z tego czasu — z imprez, akcji i innych wydarzeń z obu naszych siedzib. Myślę, że będzie tego jakieś 30 rolek filmu po 36 klatek. Chciałbym to kiedyś zdigitalizować, bo robiłem te zdjęcia jeszcze na filmach ORWO, więc one wprawdzie leżą w ciemnym miejscu w stabilnej temperaturze, ale wiadomo, że tracą na jakości. Na bieżąco robiliśmy trochę odbitek, ale nie mieliśmy pieniędzy, by wywołać wszystko. Do tego dochodzi jeszcze archiwum audycji radiowych — prawie wszystkich, w których braliśmy udział. Jest tego całkiem sporo i to już mam w plikach audio. I ostatnia rzecz, nasz najgrubszy strzał wydawniczy. Otóż mieliśmy już prawie gotową

publikację, którą nazwaliśmy *Pod znakiem tęczy. Kompendium wiedzy o gejostwie*. Dostaliśmy nawet ISBN, publikacja była już po recenzjach — czytał to między innymi Rysiek Kisiel i Sławek Starosta, który naniósł jakieś poprawki, ale generalnie był zadowolony i zaskoczony. Skrypt miał 10 rozdziałów, a w planach były kolejne dwa. Wyszło ponad 40 stron drobnego tekstu z przekrojowymi, wszechstronnymi informacjami dotyczącymi tematyki LGBT we wszystkich aspektach, jakie mogły zainteresować dziennikarzy — między innymi o historii ruchu gejowskiego, homoseksualizmie i religii, prawie w Polsce i innych krajach, kulturze itd. Kilka rozdziałów napisał Krzysiek Górski, który czasem prowadzi spacerów po gejowskim Gdańsku. To było nowatorskie jak na tamte czasy, obszerne opracowanie, ale niestety nie udało się go wydać.

DLACZEGO?

Z braku czasu i funduszy. IG wtedy już się rozpadała, nie pamiętam nawet, czy udało mi się nanieść wszystkie korekty, może jakieś drobniaki jeszcze zostały. W każdym razie mam całość w wordzie ze świetnymi ilustracjami wspomnianego wcześniej Sławka. Co do historii ruchu gejowskiego, to mieliśmy świeże, dobre źródła, więc stworzyliśmy szczegółowy, niemalże encyklopedyczny artykuł. Napisałismy go głównie z myślą o tym, że może posłużyć jako profesjonalny materiał dla dziennikarzy, którzy, pisząc artykuł o gejach, niezależnie w jakim kontekście, chcą dowiedzieć się czegoś więcej, a nie tylko odklepać wierszówkę. Liczyliśmy na to, że będzie to dla nich inspiracją i dużym ułatwieniem. Chcieliśmy podać im rzetelne, sprawdzone fakty.



RYSZARD KISIEL OPOWIADAŁ MI, ŻE PIERWSZA WYSTAWA JEGO ZDJĘĆ, KTÓRE DZIŚ FUNKCJONUJĄ JUŻ W OBIEGU ARTYSTYCZNYM, ODBYŁA SIĘ W WASZEJ SIEDZIBIE. PAMIĘTASZ JĄ?

Pamiętam, że kupiliśmy tablice w sklepie dla plastyków – mieliśmy ich ze cztery czy pięć. Różne rzeczy na nich aranżowaliśmy. Raz na jakiś czas zmienialiśmy ekspozycję, więc całkiem możliwe, że pokazaliśmy też zdjęcia Ryśka, choć dokładnie tego nie pamiętam.

CZY INTERESOWAŁY WAS WĄTKI HOMOEROTYCZNE POJAWIAJĄCE SIĘ W SZTUCE? PYTAM, BO CZĘSTO MÓWI SIĘ, ŻE WŁAŚNIE W LATACH 90. DOŚĆ SILNIE SIĘ ONE ZAZNACZAŁY. W GDAŃSKU POKAZANO NA PRZYKŁAD WYSTAWĘ JA I AIDS, PRZENIESIONĄ Z WARSZAWY. INTERESOWAŁO WAS TO?

Nie współpracowaliśmy z nikim, kto mógłby kompetentnie zająć się z tym tematem. Mieliśmy chłopaka od filmu, bo przez krótki czas funkcjonowała u nas nawet wypożyczalnia kaset wideo, ale od sztuki nie mieliśmy niestety nikogo.

OPRÓCZ „RÓŻOWEGO PULSU” IG WYDAWAŁA JESZCZE JEDNO PISMO. „FIOLETOWY PULS” ADRESOWANY BYŁ DO LESBIJEK. JAKA BYŁA JEGO HISTORIA?

Usiłowaliśmy jakoś inspirować dziewczyny, bo one były trochę bierne; coś chciały robić, ale nie były tego do końca pewne, nie widziały, jak zacząć. Pokazaliśmy im, jak robić pismo, zapewniliśmy całe zaplecze techniczne, skład komputerowy, powielanie, dystrybucję – całą logistykę. One miały tylko zrobić zawartość. Anka, pseudonim Jeżyk, napisała wstępniak do pierwszego numeru, a inna dziewczyna, Aśka, robiła świetne grafiki. W „Różowym Pulsie” przedrukowywaliśmy zdjęcia jakichś facetów, a dziewczyny miały okładki z prawdziwego zdarzenia. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby to kontynuować, zwłaszcza że pismo się rozkręcało, w czwartym, ostatnim numerze była przecież zapowiedź kolejnego, ale w końcu to wszystko się jakoś rozlało. O ile my mieliśmy dość regularny cykl wydawniczy, o tyle „Fioletowy Puls” wychodził nieregularnie. Pismo upadło siłą bezwładu, dziewczyny chyba po prostu nie miały dość czasu, pomysłów i zaangażowania.

ONE TEŻ NALEŻAŁY DO WASZEJ ORGANIZACJI?

Tak.

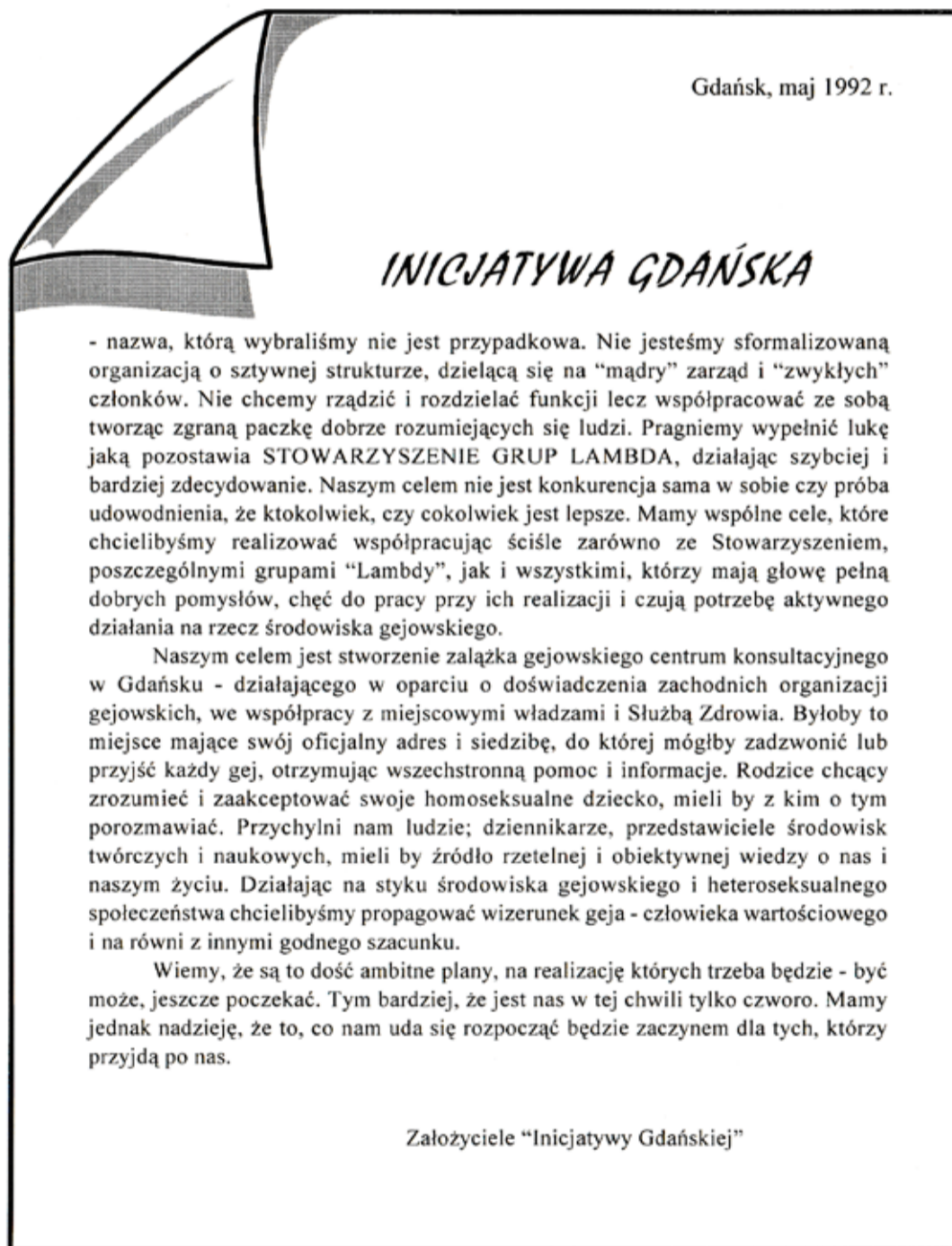
A ILE OSÓB W OGÓLE DZIAŁAŁO W IG?

Udało nam się jakoś zebrać te 15 osób, żeby założyć stowarzyszenie, ale potem bywało różnie. Ludzie przychodzili, odchodzili, parę osób z kraju pisało i rysowało. Nie chcę, żeby to pompatycznie zabrzmiało, ale rdzeń to byłem ja i Rafał. Pierwszy krąg to kolejne trzy, cztery osoby, a reszta to elektrony, które orbitowały raz bliżej, raz dalej.

„RÓŻOWY PULS” NAGLE SIĘ URWAŁ. WYDAWALIŚCIE PISMO PRZEZ TRZY LATA – DLACZEGO PRZESTALIŚCIE?

Tak, urwało się, nawet o tym napisałem w komentarzu redakcyjnym. Po prostu się rozstaaliśmy, Rafał odszedł z IG. On był ojcem pisma, ale nie była to oczywiście jego własność, lecz

pismo organizacji, więc w planach było kontynuowanie jego wydawania. Szybko okazało się to jednak niemożliwe. Ja robiłem skład od a do z, co zajmowało mi bite trzy dni w miesiącu. Tekstów było coraz więcej, ale nie mogliśmy szaleć z objętością – mieściliśmy wszystko na 16 stronach. Żeby to jakoś upchnąć, skład musiał być coraz bardziej skomplikowany. Mimo to miałem nadzieję, że uda się to kontynuować. Chciałem ograniczyć publicystykę, zwiększyć objętość serwisu informacyjnego i zainicjować rubrykę przypominającą biuletyn ILGA, w której informowalibyśmy, co dzieje się w organizacjach gejowskich na świecie – nie na festiwalach i imprezach, ale wewnątrz organizacji. Pismo miało stać się mniej rozrywkowe, a bardziej informacyjne. Szybko zdałem sobie jednak sprawę, że nie dam rady prowadzić organizacji i robić pisma jednoosobowo. Tym bardziej że wkrótce IG straciła siedzibę. Byliśmy na walizkach, więc priorytetem było pozyskanie nowego lokalu, w którym moglibyśmy się spotykać i pracować. Tak więc numer 20. – przygotowany jeszcze przez Rafała – był ostatnim, jaki wydaliśmy.



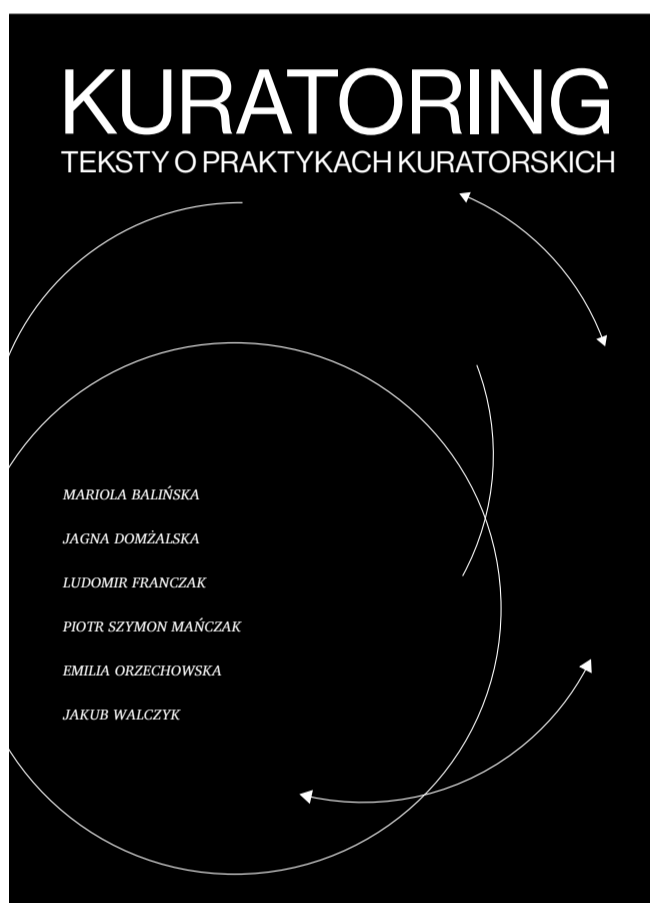
Druk programowy IG opublikowany pierwszego dnia jej działalności

Nowości

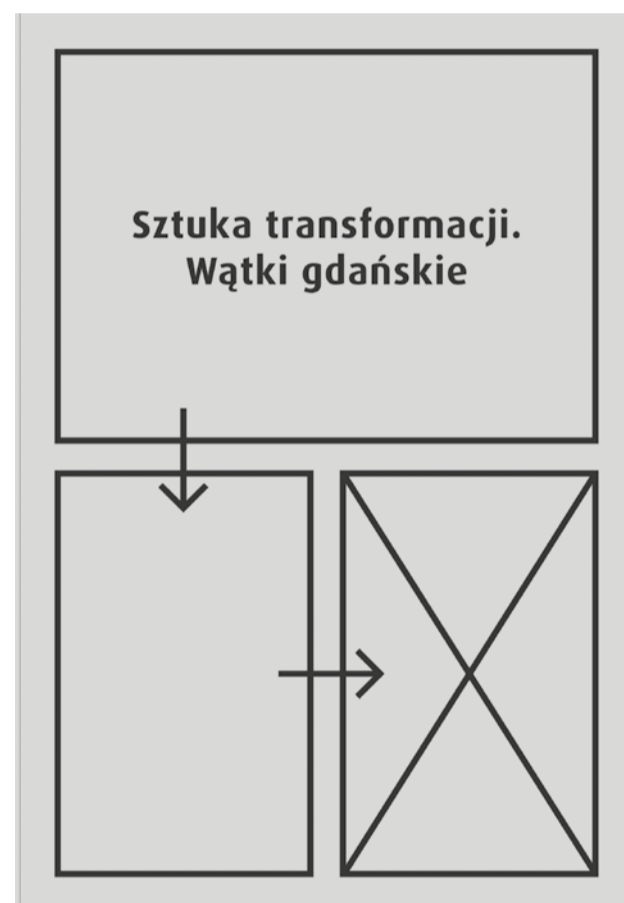
wydawnicze



Rising. Learning from the past today for tomorrow / Eseje o sztuce w przestrzeni publicznej, red. Aleksandra Grzonkowska, Fundacja Kultury Wizualnej Chmura, Gdańsk 2025



KuratoRING, red. Piotr Szymon Mańczak, Gdański Archipelag Kultury, Gdańsk 2024



Sztuka transformacji. Wątki gdańskie, pod red. Aleksandry Grzonkowskiej i Maksymiliana Wroniszewskiego, Fundacja Kultury Wizualnej Chmura, Gdańsk 2025

„DYSKURS LOKALNY”
NR 17 (GRUDZIEŃ 2025)
ISSN 2657-8492 NAKŁAD 150 EGZ.

WYDAWCA

UL, ul. św. Barbary 3, Gdańsk
ul.gda.pl



REDAKCJA

Piotr Sz. Mańczak (r. nacz.)
Maksymilian Wroniszewski
redakcja@dyslok.pl

v.5

SKŁAD TEKSTU I PROJEKT PUBLIKACJI
Julia Opalińska

ILUSTRACJA NA PIERWSZEJ STRONIE
Natalia Dopkoska

Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za świeżość tekstów. Artykuły są poddawane procesowi wielomiesięcznego kiszenia.

LESZEK PRZYJEMSKI
MUSEUM OF HYSTERICIS
1968–2025

DIE GASKAMMER DER KUNST
1981–2025
LESZEK PRZYJEMSKI